№ 30 Warszawa, dnia 17 (29) Lipca 1882 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

TREŚĆ: T. T. Jeż w Paryżu. — Maryi Deryng (wiersz). — Z opowiadania rezydenta (powieść) (dalszy ciąg). — Nieboszczyk Rousselot (humoreska) (dalszy ciąg).—Ze sztuki i z życia (Pogadanka). — Teatr nowy w Warszawie. — Z kraju i z zagranicy. W Dodatku: Labirynt. (Within The Maze). Przez Mistres H. Wood (dalszy ciąg).

T. T. JEŻ

W PARYŻU.

Niepowodzenia finansowe zmusiły T. T. Jeża do zamknięcia ambarasownego i nieopłacającego się pensyonatu prywatnego w Lozannie i do przesiedlenia się do Genewy. Tu przybywszy zamierzał zwolna uregulować swe stosunki pieniężne, spłacić długi zaciągnięte, wykupić weksle za czasów i w interesie tegoż pensyonatu wystawione.

Przez trzy lata pracował Jeż bez wytchnienia, by się uwolnić z długów — i ze smutkiem przekonał się, że jest to niepodobieństwem. Wydatki domowe, wychowanie dorastających dzieci pochłaniały dochody literackie, otrzymywane przez Jeża.

Długi pozostawały. Pod tym względem Jeż nie jest niestety wyjątkiem, każdy niemal literat polski cierpi na punkcie długów i każdy wraz z Balzakiem, może z pewną odmianą powtórzyć jego słowa: „Wyrzuty sumienia nie są tak dotkliwe jak długi, gdyż nie mogą nas zamknąć w więzieniu."

W tem słowie „dług" mieści się całe morze goryczy, niepokoju, obawy, więzów moralnych i wzmagającej się z każdym dniem troski o byt, która silne charaktery zwolna, ale statecznie zabija lub łamie na zawsze, zaś słabsze wiedzie częstokroć na manowce i zaprzepaszczenie sił moralnych i fizycznych.

Jeż należy do charakterów silnych, wytrwałych, energicznych, a życie pełne burz i niepowodzeń zahartowało ten dzielny umysł. Nie poddał się też on tym fatalnym stosunkom, lecz postanowił szukać środka zaradczego.

W tym celu zamierzył udać się do Paryża, do tego centrum wszelkiego rodzaju interesów, w zamiarze wyszukania jakiego stałego zajęcia dla siebie, któreby zdwajając środki utrzymania pozwoliło na szybszą likwidacyą ciążących na nim należności.

Zjechawszy tedy do Paryża zaczął się rozglądać za zajęciem, ale szukanie szło mu niesporo, a nadzieja ulokowania się przy jakiej, stałe dochody dającej instytucyi, słabła z każdym dniem.

W owym czasie nadesłał wydawca „Kłosów" p. Lewental z Warszawy, autorowi korektę z „Uskoków", które weszły w skład „Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiej". Zobaczył te korekty i zabrał z sobą jeden z przyjaciół Miłkowskiego, p. Ostrowski, w Paryżu bawiący i obeznany ze stosunkami miejscowemi a zaprzyjaźniony z publicystami gazet konserwatywno-klerykalnych.

Przy olbrzymiem zapotrzebowaniu strawy umysłowej Francya cierpi od czasu do czasu na rodzaj literackiego głodu — szczególniej utwory powieściowe, któreby fejleton ożywić i kupujących numera pojedyńcze do zachowania ciągu w czytaniu skłonić mogły, są bardzo poszukiwane i na wagę złota płacone.

Jeden z klerykalnych dzienników „Le Monde" doświadczał właśnie powieściowego przednówku. Wiedział o tem p. O. mający stosunki z redakcyą „Mondu" i postanowił namówić ich do nabycia i wydrukowania w fejletonie „Uskoków" Jeża. Opowiadana treść podobała się bardzo, szło jednak o tłomaczenie i o zgodę autora.

Miłkowski z „Mondem" nie sympatyzuje; ponieważ jednak we Francyi mniej jeszcze niż u nas fejleton zależny jest od kierunku reszty dziennika, ponieważ przyjaciele nalegali, wreszcie Jeżowi uśmiechała się myśl wejścia w stosunek z publiką francuzką i znalezienia zarobku dostatniego na ukochanej przez siebie niwie literackiej — w zasadzie tedy przyjął nasz autor propozycyą francuzkiego dziennika.

Wpierw jednak uzyskał Jeż zapewnienie redakcyi „Mondu", że tekst „Uskoków" uszanuje i z przekonaniami autora spierać się nie będzie.

Postanowiono, że Jeż dostarczy rzecz już przetłomaczoną — redakcya zaś jako honorarium odda mu odbitkę z 5,000 egzemplarzy po cenie kosztu.

Układ był korzystny dla francuzkiego dziennika, ale i polskiego powieściopisarza nie krzywdził.

Dawał go bowiem poznać kilkotysięcznemu tłumowi czytelników do zamożnej należących klasy, dawał poznać redakcyom wszystkich większych gazet — co wszystko robiło reklamę dla książki, której rozsprzedaż dawała zysk wcale piękny, wynoszący po potrąceniu kosztów około 12 tysięcy franków za pierwszą edycyą — sumę cztery razy większą niż autor za polski oryginał otrzymał.

Próba powiodła się, jak było do przewidzenia. Prenumerata „Mondu" w ciągu miesiąca podskoczyła o 15 procent czyli o 1,500 egzemplarzy; sprzedaż uliczna wzrosła również.

Redakcya, ażeby sobie zapewnić stałe współpracownictwo tak oryginalnego talentu zaczęła traktować o cały cykl powieści Jeża a mianowicie o „Szandora Kowacza", „Dahijszczyznę", „Narzeczoną Harambaszy" i „Rotułowiczów" — których przekłady chce pomieścić. Jednocześnie zamówił „Monde" u Jeża oryginalną powieść historyczną, dwutomową, zdając treść i tytuł na wolę autora.

Ten wybrał czasy Zygmunta Augusta, a gło-

wnym bohaterem opowiadania zamianował znanego na francuzkim dworze karła Krasowskiego, który agitował z powodzeniem na rzecz Henryka Walezyusza i przyczynił się do osadzenia go na tronie polskim.

Powieść ta pod nadpisem „Karzeł dyplomata" (*Le nain diplomate*) obecnie się drukuje w „Kuryerze Warszawskim" a w przekładzie francuzkim czeka swojej kolei w fejletonie „Mondu". Zapłacono za nią autorowi 6,000 franków.

Wracamy do „Uskoków".

Pseudonim ich autora nie nasuwał Francuzom myśli, że mają do czynienia z pisarzem polskim— i redaktor „Uniwersa" winszując dyrektorowi „Monda" tak do niego pisze: *Cher Confrere, vous aves mis la main sur un chef d'oeuvre c'est — du Walter Scott modernise*; a dalej: *Il faut dire que les Anglais s'ils se metent à faire quelquechose il font bien.*

Gdzież są jednak róże bez kolców. Prenumeratorki arystokratyczno-klerykalnego dziennika zachwycały się wdziękiem Anuncyaty, Grimani, ale redakcyi zrzedła mina gdy jej *najserdeczniejsi* opowiadać zaczęli co to zacz ten Jeż i jaką zakałę będzie wilk ów prawomyślnej owczarni „Monda" przynosił.

Pomimo przysiąg, redaktor, człowiek słaby ustąpił — i zmienił w tłomaczeniu kilka wyrazów tekstu.

Autor niemogąc dopilnować rewizyi, bo pod on czas w Genewie bawił — zaprotestował jednak energicznie, co do pewnego stopnia stosunek oziembiło. Koniec końcem odbitkę ukończono, zbroszurowano—i niebawem puści ją w świat firma księgarska poważna. Literaci francuzcy, którzy „Uskoki" czytali, unoszą się nad talentem ich autora i chwałą tłomacza, w którego przekładzie polonizmów ani śladu a opowieść płynie to strumieniem cichym, to rozhukaną falą, jak w orygynale.

W prasie paryzkiej dotąd mało jeszcze odzywano się o „Uskokach".

„Monde" nie ma miru u większości dzienników, przejętych duchem postępowym, więc mu reklamy robić nie chciały.

Recenzyą obszerniejszą umieściło *l'Echo de France*, szeroką wzmiankę wydrukował *Bulletin de la Societe des Eleves de l'Ecole polonaise.* Ta naturalnie wyszła z pod polskiego pióra. Kwestya przeto powodzenia Jeżowego arcydzieła wobec francuzkiej krytyki zostaje jeszcze w zawieszeniu. Szanse przecież zdają się być przychylne dla polskiego autora.

Redakcye dzienników poważnych a postępowych zbliżają się do niego i to nietylko paryzkich, ale i prowincyonalnych — znany zaś choć wogóle niezbyt przychylny Polakom pan *Ludwik Leger w Telegrafie* — korektę odbitki przejrzawszy, a po podaniu krótkiej biografii Jeża, tak pisze o powieści:

„Przez oryginalność imaginacyi, malowniczość szczegółów — żywość dyalogu, niestrudzoną fantazyą humoru Jeż stanął w pierwszym rzędzie powieściopisarzy i nowelistów polskich — zarzucają mu trochę przesady i tendencye jego czysto demokratyczne nie wszystkim jego ziomkom mogą do smaku trafić — ale wszyscy godzą się w uznaniu dzielności jego temperamentu i szczerości charakteru."

Tu następuje wyjątek z przedmowy Jeża do zupełnego wydania Lwowskiego z 1875 roku w którym tenże stanowisko swe i przekonania formułuje — oraz wiadomość o zamierzonej nowej edycyi dzieł Jeża także przez Lwowskich edytorów zapowiadanej. Dalej podaje Leger krótką wzmiankę o Szandorze i Handzi i t. d. poczem tak mówi:

„Pomiędzy opowieściami Jeża opartemi na dziejach Słowian południowych najwięcej ceniony jest romans „Uskoki".

Leger notuje dwuznaczną politykę Austryi względem Słowian i Turków, przez Jeża napiętnowaną i przypomina dzisiejsze tego mocarstwa matactwa dyplomatyczne.

Wspomniawszy jeszcze kilka epizodów, zwraca się krytyk do sceny pojedynku i zaślubin i konkluduje, że Walter Scott i Dumas, gdyby żyli uznaliby polskiego autora za jednego z najzdolniejszych swych uczniów.

Mamy nadzieję, że po ukazaniu się w handlu księgarskim odbitki „Uskoków", krytyka francuzka zajmie się niemi szerzej.

W swoim czasie głosy jej zakomunikujemy naszym Czytelniczkom.

G.

MARYI DERYNG

Pieśnią szmerów kołysana, —
Na fijołkach, liljach śniąca —
Jak słowiki, jak motyle,
Wieczorami zadumana —
I w półblasku tęcz miesiąca,
Nieruchoma długie chwile...

Ej! dziewczątko moje śliczne,
Poco skubiesz białą ręką,
Mimowiednie listki kwiatka?...
Próżno wietrzyk liczko mleczne
Muska, próżno przez okienko,
Do wieczerzy woła matka...

Ot! — topole się rozchwiały,
Zdrój kryniczny raźniej pryska,
I miłośniej chwieją róże,
A ty, niby odaliska —
Zdzierasz welon z piersi białej —
I zatapiasz wzrok w lazurze.

Pewnie jaki duch skrzydlaty,
O aniołkach śnić ci każe,
Z twarzyczką, jak ty dziecięcą, —
Gdy już inne, lepsze światy,
Jakichś nowych bóstw ołtarze,
Widma sławy ciebie nęcą.

. . . .

Przyszło lato... przyszło krasne — i zatrzepotała,
Nad swem gniazdkiem śnieżnopióra sokolica mała, —
Zapuściła wzrok w lazury—ej!—już chce się woli —,
I pobujać na swobodzie, pobojować chce się —!—
Nie daremnom w gniazdku śniła o sokolej doli,—
A wiatr pieśni skrzydła moje, balsamami niesie!

Przyszło lato, przyszło krasne... w górę wystrzeliła,
Niby topól, niby lilja dziewczyneczka mała —:
Nie daremnom w gniazdku mojem o aniołkach śniła,—
Ej! — sprobuję własnej siły... i zatrzepotała...
Oto ołtarz: cel mych marzeń... tu przyjmę święcenie—
I kapłanką sztuki będę na ojczystej scenie!

. . . .

Ej! dziewczyno czarnooka. — świetnaż twoja dola,
Marmurowych ideałów piękna być wcieleniem,
I nieśmiertelniki zrywać z królewskiego pola,
I zażegnać serca tłumu uczucia płomieniem,
I jak anioł wiać dokoła skrzydłem czystem, białem,
Bohaterką być przeszłości, mieczów ideałem.

A choć z czasem szron się muśnie twej jedwabnej kosy,
I lic gładką — alabastru białość zwarzą mrozy, —
To ojczystej niwy plenne, wybujałe kłosy —
I płaczące na dolinach, na cmentarnych — brzozy —
Będą szeptać naszym dzieciom, budząc nowe życie:
„I ta była kwiatkiem w polu, gwiazdką na błękicie."

Józef Korwin.

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

Ukrainka bynajmniej niezmieszana, jak dzieciak pusty, figlarnemi oczami patrzała to na ciotkę, to na młodego człowieka z kolei bawiąc się swą długą, płową kosą, którą owijała sobie to około jednej ręki, to około drugiej.

— Proszę się nie gniewać — rzekła śmiejąc się i patrząc na niego swemi przepaścistemi oczyma.

Stefan uśmiechnął się i spojrzał na zegarek.

— Jestem tu niecałą godzinę i już trzeci raz przeprasza mnie pani za coś. Jeśli tak pójdzie dalej, gotowiśmy naprawdę stać się nudni. Zróbmy umowę: możesz pani mówić i robić co ci tylko przyjdzie na myśl i nie przepraszać mnie za to, ja się nie pogniewam nigdy. Dobrze?

— Dobrze! — odparła z uśmiechem dziewczyna. — Dziękuję — dodała po chwili swoim słodkim, melodyjnym głosem.

W tej chwili Antoni zameldował mi, że Brodowski, jeden z młodszych ekonomów przybył w tej chwili i pragnie się ze mną widzieć. Bez zwłoki udałem się do przedpokoju, gdzie zastałem Brodowskiego całego zmoczonego i opryskanego błotem, który oświadczył, że woda w Olszance przepływającej nasze grunta przybiera tak gwałtownie, że kra która ruszyła się przed południem zrobiła zator przy moście na głównym trakcie wskutek czego woda wylewa na drogę i most znajduje się w niebezpieczeństwie.

Rozkazałem Brodowskiemu zebrać ilu się da ludzi z drągami i hakami do rozbijania lodu, sam zaś kazawszy podać sobie konia, udałem się do salonu zdać raport z otrzymanej wiadomości i przeprosić naszych gości że na czas pewien opuszczę ich towarzystwo.

— Jedziesz? — zapytała zaniepokojona nieco Jenerałowa.

— Jadę pani, kazałem już sobie osiodłać siwka i zaraz idę zabierać się do wyjazdu.

— A nie narażaj tam pan bardzo ludzi i siebie — prosiła staruszka.

Uspokoiłem ją obiecując wszelką ostrożność i uwagę i zwróciłem się do naszych gości przepra-

szając, że ich opuszczam i obiecując powrót jak najspieszniejszy.

Mirski powstał.

— Jeśliby się tam panu zdał na co inżynier? to służę panu — rzekł do mnie.

— Chciałbyś pojechać ze mną, hrabio?

— Pojechałbym, naturalnie.

— No to bardzo mi będzie przyjemnie — odparłem. — Wolisz pan jechać konno, czy też kazać założyć do wolancika.

— Proszę o konia jeśli łaska.

Wysłałem Antoniego natychmiast do stajen i uważałem, że gdy służący wychodził z salonu, Ksenia, która całego opowiadania o wylewie słuchała z wielkiem zajęciem, dała mu znak jakiś tajemniczy, na który stary sługa uśmiechnął się i skinął głową. Nie było przecież czasu zapytywać i dochodzić co to takiego bo właśnie w tej chwili zobaczyłem oknem wyjeżdżający z podwórza wóz z ludźmi, których Brodowski zdołał zebrać.

Wyszliśmy też natychmiast obaj ze Stefanem do mego pokoju, aby przebrać się odpowiednio na wodę i błoto — zaledwie atoli zamknęliśmy za sobą drzwi salonu i doszliśmy połowy korytarza, gdy usłyszeliśmy szybkie kroki za sobą i ujrzeliśmy Ksenię, która biegnąc za nami pędem, oparła się z tyłu obiema rękami o moje ramiona zatrzymując tym sposobem razem mnie i siebie na miejscu.

— Co pani wyrabia? — zawołałem śmiejąc się i starając napróżno uwolnić się z rąk mej szalonej faworytki.

— Zabierz mnie z sobą, tatku! — zawołała pieszczotliwie przytulając swoją śliczną główkę do mego ramienia.

— Dokąd?! — zapytałem zdumiony.

— Do wody. Nie widziałam nigdy jak to rzeka wylewa!

— Na Boga! co się z panią dzieje? Na taki deszcz i zimno!

— Nic to, mój staruszku, ty wiesz, że ja się zimna i deszczu nie boję! Dasz mi jeden z twych płaszczy gumowych, których wiem że masz dwa — notabene ładniejszy — i pójdziesz do cioci obrobić tę sprawę.

— Idź pani obrób sama! Jeśli ciocia pozwoli zabiorę panią chętnie.

— Oho! — odparła śmiejąc się Ukrainka — ani się tam pokażę w salonie! jużby mnie potem ciocia z panną Mirską ztamtąd nie wypuściły, a ja muszę widzieć ten wylew, muszę! Ty przecież wiesz sam, że muszę — dodała głaszcząc mnie po twarzy swoją białą jak lilia rączką.

— To napróżno — rzekłem starając się utrzymać dłużej przy swej powadze. — Jenerałowa nie pozwoli i ja prosić nawet o to nie myślę. Gdzież można, żeby osoba w pani wieku...

— Tylko nie peroruj, nie peroruj! przerwała mi dziewczyna.—Pójdziesz! musisz pójść!—Panie Mirski — dodała zwracając się do Stefana — każ mu pan żeby poszedł...

— Nie zaziębi się pani? — zapytał Mirski.

— Zkąd znowu! — zawołała Ksenia patrząc na niego gwiaździstemi oczyma — ubiorę się ciepło w futerko, baszlik i buty po kolana.

Młody człowiek uśmiechnął się łagodnie:

— To chodźmy obaj panie Święcicki, może uda nam się wyprosić tę wyprawę u Jenerałowej.

— Ależ to będzie długo trwało — broniłem się jeszcze słabo — trzeba dopiero kazać siodłać trzeciego konia.

— Koń już przed gankiem — roześmiała się dziewczyna.

Nie było co z nią robić, poszliśmy obaj do Jenerałowej wyprosić pozwolenie na tę wyprawę. Staruszka z początku sprzeciwiała się, lękała się deszczu, zimna i wody, wkrótce przecież ulegając prośbom moim, a głównie Mirskiego, który bardzo gorąco popierał sprawę naszej Ukrainki, roześmiała się, nazwała Ksenię czarownicą, przy której najstarsze i najpoważniejsze umysły dziecinnieją, i poleciwszy wspólnej naszej opiece szalone swe dziecko, zezwoliła.

Gdyśmy powrócili z salonu, zastaliśmy Ksenię już ubraną, ze szpicrutą w ręku czekającą nas w sieni.

Ze względu na deszcz i błoto, dziewczyna nie wzięła dnia tego amazonki, którąby tylko najniepotrzebniej mokła i walała się o nogi konia, ale na codzienną granatową sukienkę narzuciła mój płaszcz gumowy, który zapięła szczelnie do samego dołu i którego kaptur naciągnęła głęboko na jasnowłosą swą główkę. W tym kostiumie w węgierskich długich bucikach ze szpicrózgą w ręku, wyglądała jak młody, figlarny chłopiec, i mimo woli oczy nasze ścigały z zachwytem tę smukłą, składną postać, która cokolwiekbądź wzięłaby na siebie, była zawsze na inny, odmienny, nowy sposób, ale równie piękną i pełną wdzięku. I nawet Jenerałowa, która wyszedłszy wraz z hrabianką Niną na ganek przyjrzéć się tej, jak mówiła, maskaradzie, miała ochotę trochę jeszcze pomarudzić, ujrzawszy ją dosiadającą zręcznie i składnie ognistego Burana, który trzymany przez dwóch ludzi, rzucał się tocząc z pyska pianę i gryząc niecierpliwie wędzidło, zmiękła odrazu i bardzo łagodnie upominała tylko siostrzenicę, aby się z tem niesfornem zwierzęciem nie zbliżała nadto do wody.

Deszcz zdawał się ustawać nieco, kiedyśmy ruszali z przed ganku; skoro też tylko wydostaliśmy się na szosę biegnącą mimo pałacowej bramy, korzystając z mniej grzęzkiego błota, wziąwszy naszą amazonkę w środek pomiędzy nasze konie, ruszyliśmy z miejsca raźnym kłusem w stronę rzeki.

Skoro tylko minęliśmy Zajączki, najbliższy nasz folwark, i opuściliśmy się w nizinę nadrzeczną, ujrzeliśmy całe łąki zalane wodą. Z daleka już dochodził do naszych uszu szum fali połączony z hukiem pękającego lodu i krzykiem ludzi rozbijających krę na moście.

Kiedyśmy zbliżyli się na jakie sto kroków do mostu, Mirski prosił nas, abyśmy zatrzymali się tutaj ze względu na konie nasze młode i płochliwe, które słysząc ten szum i hałas z daleka kręciły się strasznie, niepokojąc tym sposobem Burana, który, choć bynajmniej niestrachliwy i obyczajem prawdziwie rasowych koni gotów na każde skinienie jeźdźca skoczyć bez namysłu w ogień i wodę, ale niezmiernie ognisty i swawolny, widząc niepokojących się towarzyszy, począł rwać się i rzucać okazując niezmyśloną ochotę do rozbiegania, sam zaś zsiadłszy z konia, pieszo poszedł się przekonać o stanie zagrożonego mostu. Wróciwszy po kilku minutach młody inżynier, oznajmił nam, że o dalszej obronie mostu nie ma co myśléć. Woda podniosła się już tak bardzo, że mimo dość wysokich w tem miejscu brzegów i nasypu szosowego, wylewała z obu stron mostu na drogę, niosąc krę tak silnym prądem prosto na pomost, że zdaniem Mirskiego, jedyną radą było zebrać pomost co najrychlej, aby nam go woda nie zabrała. Polegając na zdaniu naszego inżeniera, pozsiadaliśmy z koni, udaliśmy się wszyscy do mostu, gdzie wydawszy odpowiednie rozkazy, rozpoczęliśmy forsownie dzieło zniszczenia. Przez półtory godziny wśród deszczu i wiatru zrywającego się silnie po nad wodą, pracowaliśmy obaj z Mirskim jak drwale odkręcając szruby, odrywając haki i klamry zarówno z naszymi ludźmi. Gdyśmy nareszcie ukończyli tę ciężką robotę i z mostu całego pozostał tylko szkielet ze słupów i kilku grubszych bali, odetchnęliśmy nieco i powróciwszy na szosę, poczęliśmy przyglądać się szalonemu przypływowi wody, która brudna, mętna, niosąc z sobą całe snopy słomy i śmiecia różnego rodzaju, poczynała już przelewać się przez zwirówkę z początku nieznacznym a wkrótce coraz szerszym strumieniem przed którym musieliśmy się co chwila w tył o kilka kroków usuwać.

Przez cały ten czas Ksenia stała na wysokim kamieniu szosowym, trzymając cugle Burana i oparłszy się o konia, z pod kaptura od płaszcza wielkiemi oczyma patrzała na rozszalały żywioł zamyślona i milcząca.

Powiedziałem jej, że przypomina znany portret Szamila opartego o konia i zapatrzonego w step bez końca i dałem hasło do odwrotu. Dziewczyna przecież ani słuchać nie chciała o opuszczeniu swego stanowiska i nie odrywając oczu od wody prosiła, abym pozwolił napatrzyć się jej na ten widok majestatyczny, choć straszny, którego dotąd nigdy nie widziała. Przystałem na to żądanie ochotnie, szczególniej, że ludzie nasi składali jeszcze drzewo z zebranego mostu na wozy i wolałem do końca z nimi pozostać.

— Czy ta chatka za wodą jest zamieszkałą?—zapytał naraz Mirski, który oparty o jeden z wozów, paląc papieros rozglądał się po okolicy zalanej wodą.

— Tak — odparł ekonom — mieszka tam żona jednego z mniejszych gospodarzy, który przed rokiem poszedł do wojska.

— W takim razie żądają tam od nas pomocy— rzekł Mirski spokojnie rzucając w błoto niedopalonego papierosa.

Wszystkich oczy zwróciły się teraz na chatkę, o której zapomnieliśmy zupełnie, a raczej nie pomyśleliśmy wcale, tak była małą i schowaną pomiędzy olszyną i łoziną nadrzeczną.

Rzeka w tem miejscu rozchodziła się w dwa ramiona pomiędzy któremi, między krzakami i zaroślami, rozciągał się trzymorgowy może kawałek lądu, narosły olszynką młodą i żółtą wierzbiną. Szmatek ten ziemi oddano ubogiej włościańskiej rodzinie, która skleciwszy sobie na górce chateczkę z gliny i chrustu, żyła tam pomiędzy wodami spokojnie i bezpiecznie, gdyż woda z naszej rzeczki nigdy a przynajmniej bardzo rzadko dochodziła do wysokości chaty i od lat dwudziestu przynajmniej nie pamiętano, aby wzgórek został zalany. Widocznie też ludzie tam zamieszkali liczyli na swą siedzibę obronną, nie wydalając się z chaty dopóki była pora, i dopiero teraz, ujrzawszy gwałtowny i niezwykły przypływ wody a nie mogąc już wydobyć się na ląd stały, wywiesiwszy z pod strzechy chustę czerwoną dawali nią ku nam znaki rozpaczliwe.

— Czy nie ma tu gdzie czółna?! -- zawołał Mirski zwracając się do ludzi. — Nie pozwolimy chyba potopić się tym biedakom!

Czółno znalazło się w tej chwili, gdyż w naszej okolicy obfitującej w wodę i rybaków, nie brakło ich wcale i przed każdą chatą leżało przynajmniej jedno wyciągnięte na trawę na zimowe leże. W pięć minut z najbliższej osady przyniesiono dużą łódź

tryumfalnie. Kiedy przecież opatrzywszy ją spuszczono na wodę, nie było śmiałka, któryby odważył się wsiąść w nią i podjąć się wyprawy. Ze trzydziestu włościan stało nad czółnem patrząc na siebie i namawiając jeden drugiego:

— Ano Antoni siadajcie! wyście przecież rybak z profesyi.

— Mądryś, to też siadaj! tyś też rybak.

— O! gdybym tak jak wy nie miał żony i dzieci tobym siadł i tyle!

— Żeby nie kra, tobym popłynął — mówił inny drapiąc się po kędzierzawej głowie.

— Żeby nie kra tobym ja bez czółna popłynął!

— Toć, że kra!... jakby uderzyła w czółno...

— To niech Bóg broni!

Przypatrywałem się z zajęciem tej scenie malującej wybornie charakter naszego ludu zawsze oględny i ostrożny, kiedy zbliżył się do mnie nasz młody inżynier.

— Czy znasz się pan dobrze z wodą? — zapytał.

— Nie pływam wcale — odparłem.

— To szkoda... chciałem panu zaproponować wyprawę — rzekł odchodząc w stronę rzeki. — Hej, chłopcy — zawołał skacząc do łodzi i odbierając wiosło z rąk jednege z mędrkujących parobków: na ochotnika, kto ze mną?

Głucha cisza odpowiedziała na to pytanie. Chłopi stojący tuż nad brzegiem wykonali instynktowy ruch wsteczny od wody, do której jak się teraz przekonaliśmy, nie było siły któraby ich oprzeć się zdołała.

Doznałem dziwnie przykrego wrażenia na widok tego tchórzostwa ludzi, z których, jak wiedziałem, przynajmniej połowa wychowawszy się nad wodą, znała rzekę i pływała jak ryby. I postanowiłem już sam, pomimo wszelkiej nieznajomości sztuki pływania, ofiarować się Mirskiemu za towarzysza, gdy w tej chwili ujrzałem, że znalazł już ochotnika w osobie Kseni, która rzuciwszy na wolę cugle Burana, zbiegła pędem z nasypu zwirówki i jednym skokiem znalazła się w łodzi obok Stefana.

Widziałem jak po twarzy młodego człowieka przemkła dziwna gra wyrazu. Było to coś podobnego do olśnienia — natychmiast przecież piękne jego rysy powróciły do zwykłego spokoju.

— Co pani robi? — zapytał seryo, prawie surowo.

— Płynę z panem — odpowiedziała dziewczyna najswobodniej podejmując leżące na dnie czółna wiosło i jednem jego uderzeniem odbijając od brzegu.

Mirski natychmiast wykonał ruch przeciwny i powrócił łódź do brzegu.

— Proszę, wysiądź pani — rzekł krótko.

— Dlaczego? — zapytała żywo patrząc na niego z pod swego kaptura wielkiemi oczami.

— Dlatego, że to nad siły pani.

— Oh! — odparła śmiejąc się — co pan wie o mych siłach. Pływam jak ryba i z wiosłem nie raz na Worskli spędzałam dnie całe!

— Ani śmiem wątpić, racz przecież pani wysiąść.

— Ani myślę! — zawołała dziewczyna stanowczo. — Musi mnie pan wziąść z sobą!

— Nie! — odparł młody człowiek stanowczo, składając wiosła w czółno z miną zdecydowaną.— Najniepotrzebniej potopimy tych biednych ludzi— dodał patrząc w stronę chatki z której czerwona chustka dawała znaki coraz rozpaczliwsze.

— Dlaczego? — zapytała żywo Ukrainka.

— Dlatego, że jeśli pani nie wysiądziesz, nie będę mógł popłynąć im z pomocą.

— Dlaczego? — powtórzyła niecierpliwie uderzając nóżką w dno łodzi.

— Dlatego, że wolę potopić ich niż panią — odparł krótko.

Dziewczyna stała chwilę jeszcze wahając się, potem nagle odwróciła się i wyskoczyła na brzeg.

(*D. c. n.*)

NIEBOSZCZYK ROUSSELOT.

HUMORESKA

KAROLA DESLYS.

Przekład z francuzkiego

E. H.

(Dalszy ciąg.)

VI.

Po drugiej stronie starego zamku, pośród sadu, lecz odgrodzony ścianą bluszczową, był ogród w którym się znajdowały cuda prawdziwe i zbiór kwiatów najrzadszych, rozgatunkowanych z wielką znajomością rzeczy, a w kątku nawet mała cieplarnia; wyglądało to na zakład ogrodniczy holenderski.

— Jak widzę, kuzyn Mateusz lubił tulipany? odezwał się Prosper, nachylając się nad grządką tych wiosennych kwiatów, których na pół otwarte kielichy, tworzyły jakby różnobarwny kalejdoskop.

— Tulipany — zawołał pan Jan — były główną namiętnością biednego Mateusza; ale lubił też i róże, anemony, goździki, rododendrony, azalie, kamelie. Cóż pan chcesz? stary, bezdzietny człowiek musi się przywiązać do kogoś lub do czegoś— nieboszczyk Rousselot wybrał sobie kwiaty, a były to prawdziwie niby jego dzieci, które mu samą tylko sprawiały radość. Lubić kwiaty... wierz mi pan... jest to szczytem mądrości ludzkiej. Gdzie pan znajdziesz dzieci, wnuki, piękniejsze, posłuszniejsze i wdzięczniejsze? Byle im wybrać odpowiednią ziemię, umiarkować cień i światło, w chłodną porę przysłonić szklanym kloszem, w upał zrosić je kilku kroplami wody, wyciągają do nas, jakby przyjacielskie dłonie, swoje łodygi zielone, ktore wnet różnobarwnem okryją się kwieciem. Jeśli niekiedy nie spełnią oczekiwań ogrodnika, nie ich w tem wina; lecz się to bardzo rzadko zdarza! Patrz pan tylko na te tulipany—wszystkie zakwitły z wiosną. Oto *królewski centkowany*, gdzieżeś pan widział piękniejszy? Ten tu, to *królowa Holandyi*, tamten, *Skarb Harlenu*, to *Aurora fulgens.* A tam po środku, to nasze własne odkrycie: jest on prawie czarny, nazwaliśmy go *Piękną Kotentynką!*

— Ach! — zawołał uśmiechając się Prosper — widzę, że pan podzielasz wszystkie upodobania kuzyna Mateusza.

— Najzupełniej, odrzekł stary, z błyszczącemi radością i zachwytem oczyma.

— Nie ganię tego bynajmniej, odrzekł Prosper. Co do mnie, jedyną moją namiętnością jest tymczasem sztuka, lecz później, gdy się zestarzeję, (zdawało mi się żem to przeczuwał słuchając pana przed chwilą), polubię może gospodarstwo, boć i to malarstwo, a przytem, jakie barwne! Wiesz pan, że słońce to malarz nie lada!

— A wiesz pan, że i Bóg to artysta nie lada, panie Prosperze?

— Wiem o tem, wierzyłem w to zawsze; lecz dopiero tu, na wsi, wśród tej zieleni i wspaniałości odczuwam to sercem. Ach! czemuż zmuszony jestem mieszkać w Paryżu.

— Tak! naturalnie... posiadłości pańskie, interesa, rodzina?...

— Interesa, dajmy na to... jeśli to szkaradne słowo ma oznaczać pracę, która mi daje sposób do życia. Posiadłości... kochany panie Janie, nie mam grosza przy duszy. A rodzina... mój dobry panie jestem podrzutkiem... Nie znałem ani ojca ani matki!

— Biedny młodzieńcze! Wybacz że ci przypomniałem.

— Nic w tem dla mnie nie ma przykrego... Czy pan myślisz że ze mnie jaki zgorzkniały i melancholiczny Autony? A! broń Boże! Sam jestem, zatem swobodny, a przy swobodzie czemu nie mam być wesołym? Nie mając rodziny, tworzę sobie taką, która mi do serca przypada i przodkami moimi są wszyscy nasi wielcy mistrze; nic mi nie przeszkadza wybrać sobie za matkę Magdalenę Tycyana, a za babkę staruszkę Rembrandta. Kochałem się dotąd tylko w rzeźbionych i malowanych kobietach i bardzo prawdopodobnie zostanę starym kawalerem, a gdy nadejdzie starość, gdy moje pędzle się pościerają i farby poschną, osiądę w jakiej wiosce nad brzegiem morza,—najchętniej w Normandyi, jeśli mi się uda, i zamiast wychowywać dzieci, będę doprawdy, jak nieboszczyk Rousselot hodował tulipany.

Rozmawiając w taki sposób skończyli oglądać ogród. Potem przeszli za ogrodzenie (zmierzch już zapadać zaczął, a z nim spokój i milczenie), udali się do tłokarni, śpichlerza, obory, stajni i ptaszarni. Zdawało się, że pan Jan z coraz większą przyjemnością oprowadzał młodego człowieka po całem gospodarstwie, nie opuszczał najmniejszej bagatelki a prosper zachwycał się wszystkiem. Wyszli nareszcze po za obręb fermy, na pole. Pan Jan spuścił z łańcucha Cerbera, a ten uszczęśliwiony w podskokach pędził przed nimi; traktował już teraz Prospera jak starego znajomego i zdawało się, że miał wielką ochotę zaprzyjaźnić się z nim szczerze.

Wokoło fermy krajobraz był cudownie piękny, a ostatnie ukośne promienie zachodzącego słońca, jedne przedmioty oświecały purpurowem, inne prawie fioletowem światłem. Z pośród liści odzywał się co raz ciszej świergot usypiających ptaszątek — ich modlitwa wieczorna.

Ocean szemrał z dala, bo to była chwila odpływu. Cisza zaległa głęboka, wieczór był ciepły a piękny jak rzadko, pan Jan i Prosper usiedli pod rozłożystem drzewem i z większą jeszcze otwartością rozmawiać zaczęli.

Pan Jan był gadułą, lecz i ciekawym także. Prosper musiał mu opowiadać szczegółowo, że dlatego tylko nazwał się Desroches, żeby módz się przecie podpisać jak każdy inny; że na jego akcie urodzenia nie było żadnego nazwiska, chyba żeby kiedy odnalazł swego ojca, co było wcale nieprawdopodobnem, inaczej mógł się tak samo przezwać Desarbres albo Desiles, jeśliby mu przyszła fantazya. Dalej, gdy starzec nalegał coraz żywszy czując pociąg do młodego artysty, ten mu opo-

wiedział swoją historyą, swoje nędzne dzieciństwo którego jednak żałował już nieraz; pierwsze oznaki powołania—portret odźwiernego węglem nakreślony na ścianie, spostrzeżony przez nauczyciela rysunku, mieszkającego w tym samym domu. Nauczyciel potrzebował chłopca do usług, któremuby mógł płacić jak najmniej; dziecię pragnęło bezpłatnego nauczyciela. Nastąpiła ugoda wzajemna, lecz niezależna natura Prospera nie mogła się pogodzić ze służebniczym stanem. W rok później uczył się w bezpłatnej okręgowej szkole a wieczorem, żeby zapracować na życie, otwierał drzwiczki od powozów przed teatrem, a nawet niekiedy spekulował, sprzedając kontramarki. Po dwóch latach spędzonych na tak różnorodnych zajęciach, młody uczeń tak wielkie w rysunku zrobił postępy że o nim mówiono w artystycznym świecie.

Skutkiem tego powstał zakład pomiędzy jednym z największych nowożytnych profesorów i najstarszym jego uczniem. Zawołano chłopca; ten który trzymał za nim, odniósł świetne zwycięztwo, dzięki rzeczywistemu talentowi dziecka, które miało przytem szczęście podobać się i temu kto przegrał. Koniec końcem chłopak został w pracowni. Było to wciągnieniem do cechu, nauką, przyszłością.

— Nie myśl pan jednak, mówił dalej młody artysta, że tu się już skończyły dnie mojej niedoli. Kończyłem właśnie rok dwudziesty, gdy mój dobroczyńca umarł. Nie byłem już dzieckiem, to prawda i miałem naukę, lecz nie miałem jeszcze imienia. Nie znasz pan co to jest walczyć obojętnością, zazdrością, sprzedajnością nędzą! Nie żałuj mnie pan jednak zbytecznie... Podobne przeszkody są bodźcem, sprawiają one ból niekiedy, lecz zmuszają do pośpiechu. Koniec końcem, dziś już stanąłem u celu.

— Zdobyłeś majątek? spytał starzec zachwycony, zacierając ręce.

— O, co to, to nie, odrzekł żywo Prosper; lecz jeśli będę pracować wytrwale, żyć bardzo porządnie i oszczędnie, stanie się to za jakie lat dwadzieścia pięć lub trzydzieści... jeśli przedtem nie umrę. Tymczasem jestem już bogatym, bo mam dwadzieścia pięć lat, zapas nieprzebrany wesołości, a nadewszystko, że mam potrzeb niewiele i w gruncie jestem filozofem. Otóż i cała moja historya, kochany panie; masz pan mój portret; jeśli niepiękny, tem gorzej! to już moja własna sprawa, nikogo to prócz mnie nie obchodzi. Już doprawdy nie mam co o sobie więcej do powiedzenia. Daj mi pan, jeśli łaska, ognia do zapalenia cygara.

Pan Jan podał swoją fajeczkę młodemu człowiekowi i mimowoli zawołał:

— Ach, jeśliby pan Anatol był do pana podobny, kuzyn Mateusz radby był z tego!

— Gdyby żył, bardzo być może!—odrzekł żartobliwie Prosper, lecz ponieważ umarł!

— To prawda, odpowiedział Jan z westchnieniem, umarł!

— Co zaś do mego towarzysza, zaczął Prosper, później zmienisz pan zdanie; jest to w gruncie bardzo miły chłopak, pełen najlepszych przymiotów, tylko obecnie cierpi na pewną chorobę, skutkiem której wydaje się źle a przynajmniej daleko gorzej niż jest w rzeczywiści... jest to choroba bardzo rozpowszechniona w Paryżu, lecz spodziewam się, że mu to przejdzie.

— Cóż to za choroba?

— Żądza pieniędzy. Lecz oto i księżyc wschodzi; czybyśmy nie poszli do naszego chorego, kochany panie?

VII.

Zawrócili ku fermie.

Kilku wieśniaków wracających do domu, spotykając się z nimi, kłaniali się z wielkiem uszanowaniem i widoczną serdecznością staremu.

Zadziwiło to z razu Prospera.

— Nie zważaj pan na to, odezwał się pan Jan. Poczciwi ci ludziska tak się do tego przyzwyczaili żem zawsze brał udział w dobrych uczynkach zmarłego, iż nas prawie za jedno biorą i że na mnie niejako spada część ich wdzięczności.

— Nieboszczyk Rousselot był więc bardzo kochanym w okolicy?

— Hm, hm!

— Świadczył wiele dobrego; bardzo zacnym musiał być człowiekiem?...

— Miał, jak każdy, dobre swoje godziny. Nie był to zresztą zły człowiek.

— Dziwna rzecz! nie znałem go, a jednak czuję dla niego najżywsze współczucie; jeśli jeszcze był tak podobnym do pana, jak sam mówisz panie Janie, doprawdy, pewien jestem, żebym kochał tego poczciwca.

— Panie Prosperze...

Lecz artysta już ani wiedział o czem rozmawiał przed chwilą. Wzrok jego padł na rozpadlinę w skale przez którą widniało morze i w niem księżyc odbijający się niby w srebrnem źwierciadle.

Na ziemi również efekt był zachwycający. Ostro zarysowane wybrzeża fantastyczne cienie rzucały na niezmierny horyzont szafirowej barwy, cały złocistemi utkany gwiazdami. Zagrody, płoty, skały, drzewa, nawet wysokie chwasty, wszystko olbrzymiało, przybierało dziwne kształty widm powiewnych lub chochlików swawolnych przy blasku księżyca.

Przez kilka chwil artysta stał nieruchomy, w niemym zachwycie, jak zaklęty rycerz z legendy. Towarzysz musiał dotknąć jego ramienia, by go zbudzić z tego stanu.

— Pański przyjaciel jeszcze pracuje, rzekł starzec wskazując na jedyne okienko w którem jeszcze migotało światło lampy, przyświecając bezwątpienia człowiekowi pozytywnemu, lubiącemu pieniądze, który wśród wszystkich tych przepychów nocy, nie znalazł nic bardziej godnego uwagi, nad tę plikę grezmołów notaryalnych i szeregi cyfr.

W rzeczy samej, gdy pan Jan z Prosperem wrócili do pokoju na pierwszem piętrze, zastali Anatola na tem samem miejscu, na którem go zostawili. Część papierów leżała przed nim, drugą włożył do dużej koperty białej, na której napisał dużemi literami pismem urzędowem: *Sukcesya Rousselot.*

— Ach! zawołał nowy dziedzic, skoro tylko dostrzegł starca — mój panie, jakiego to rodzaju zwierzę jest ten wasz Bastyan?

— Czyżby śmiał uchybić panu, panie Anatolu?

— Niezupełnie, lecz ponieważ na fermie zostawiłeś pan tylko jednego służącego, mógłbyś pan był przecie lepszy zrobić wybór.

— Wszyscy wrócą w poniedziałek rano; wielmożny pan będzie mógł sam wybrać kogo mu się podoba. Tymczasem napomnę Bastyana.

— Niech i tak będzie. Lecz jeśli i wam tak nie odpowie, jak mnie mówić nie chciał...

— Jakto?

— Wołam go przed chwilą; chciałem zrobić rozporządzenie na jutro rano.

— Czyż je przyjął w nie dość przyzwoity sposób?

— Odpowiedział mi na migi. W tem jeszcze nie było nic nadzwyczajnego; lecz chcę go potem zapytać o niektóre szczegóły; wyrabia tylko najrozmaitsze miny.

— Czyś ty niemy, błaźnie jakiś? pytam.

— O, co nie, to nie, proszę pana, ludzie nawet mówią żem do zbytku wygadany.

— No to gadajże przecie!—Tu powtarzam pytanie i słucham. Ten nicpoń robi znowu głupią minę, rumieni się po uszy, coś bąka niezrozumiale, potem nagle przestaje i stoi z gębą otwartą, jakby ość połknął. Nalegam, miesza się jeszcze bardziej krzywi się i dziwaczne wyrabia giesta. A to mi dopiero zręczny aktor. Już mi zaczyna braknąć cierpliwości,—gniewam się, a on nie słucha. Nakoniec biorę go za plecy i popycham, dając mu tęgiego sztuchańca nogą; odwraca się, uśmiecha, kłania mi się bardzo grzecznie jakby na podziękowanie i zmyka. Czy kto kiedy widział takiego głupca?

Pan Jan śmiał się zcicha słuchając tego opowiadania, Prosper wybuchnął na głos.

— Ach! was to bawi, moi panowie, rzekł Anatol z lekkim odcieniem złego humoru.

Stary powstrzymał się natychmiast.

— Niech pan raczy mnie pytać, rzekł z uszanowaniem i uprzejmością, z najszczerszą przyjemnością odpowiem na wszystko.

— To bardzo szczęśliwie. A więc! mój kochany panie, pragnąłbym wiedzieć gdzie się znajduje pan Pichard, który pisał do mnie?

— Pichard?... odrzekł pan Jan, po chwilowem wahaniu się. Wyjechał na dni kilka; polecił mi zastąpić jego miejsce.

— Ach! więc pan jesteś plenipotentem i zastępcą całego świata?

— Śmiem się spodziewać, że pan Anatol Rousselot nie będzie miał powodu użalania się na mnie.

— Bardzo dobrze! Czy tu jest notaryusz w tych stronach?

— W Szerburgu, tak panie: p. Goudois, notaryusz zmarłego. Za jego to pośrednictwem nieboszczyk Rousselot kupił wszystkie swoje posiadłości, szczególniej tę oto, którą powszechnie nazywają Ormettes.

— Niech sobie będą Ormettes. Odwieziesz mnie pan jutro rano do tego notaryusza.

— Czy pan nie zechce uważać tego za niedelikatność z mojej strony, skoro zapytam, jakie są pańskie zamiary?

— O, bynajmniej, jest to najprostsza rzecz, — polecę mu, aby jak najprędzej ogłosił sprzedaż.

— Jaką sprzedaż?

— Ma się rozumieć wszystkich tych posiadłości które w sukcesyi spadły na mnie.

— Więc pan z nich żadnej zachować nie myślisz, nawet tej?

— Ani tej, ani żadnej innej; dlaczegóżbym jej nie miał sprzedać tak samo?

— Sprzedać Ormettes!

(*D. c. n.*)

ZE SZTUKI I Z ŻYCIA.

POGADANKA.

(Dwie rusałki. — Projekta estetyczne. — Losy dramatu. — Autorzy.—Teatrzyki i Teatr. —Nowe książki. — Nauka.— Krytyka i—małżeństwa.)

Jest baśń na Rusi, którą już Bohdan Zaleski zużytkował w swych pieśniach, że u kolebki każdego dziecka śpiewają rusałki, a pieśni te tak serdecznie i ściśle łączą się z duchem i charakterem dziecka, że decydują o późniejszem życiu i jego kierunku.

I u mojej kolebki były rusałki i swym śpiewem kołysały mnie do snu i marzeń.

Nieraz wieczorną godziną, gdy myśl nie krępowana zabłądzi w dom rodzinny, tam, daleko u podnóża Karpat i przeszłość moja staje żywo przedemną... wówczas znów słyszę urocze tony rusałek i rozmarzony poddaję się chętnie ich rozkazom.

Oto widzę z prawej strony rusałkę czarnooką, powiewną i wonną, jak tchnienie wieczoru czerwcowego — ach, ona taka dobra, szlachetna, piękna, nuci mi pieśń miłości i zgody, wskazuje na sławę, dobro społeczeństwa i pracę — w ręku ma konwalie, róże i polne kwiaty, któremi mi umila każdą troskę i trud. A druga z lewej, również powabna, lecz powaga jej niemal mnie trwoży, a na jej ustach jest wieczna przestroga.

Gdy pełen zapału i entuzyazmu (nie egzaltacyi!) zrywam się do wszystkiego co dobre, szlachetne i piękne, zachęcony do czynu spojrzeniem rusałki czarnookiej — wnet druga chłodzi mój zapał, wkazuje na ujemne i śmieszne strony, przestrzega z tak przekonywającą siłą, że stoję bezradny na rozdrożu, nie śmiejąc wybrać drogi a z entuzyasty staję się krytykiem i po części pessymistą.

Nie wińcie więc mnie, łaskawe czytelniczki, gdy na jasną stronę życia rzucę cień — nie pochodzi on z zawiści i gniewu, lecz jedynie szept drugiej rusałki zmusza mnie do pisania i ujemnych stron życia naszego tak moralnego jak i społecznego. Raczcie tych kilka słów przyjąć jako usprawiedliwienie i bliższe zapoznanie się z wami, a teraz przystępuję do — kwestyi bieżących!

W dziedzinie sztuk pięknych krzątamy się nie na żarty. W Krakowie zakładamy „Muzeum narodowe” dzięki ofiarności Siemiradzkiego i innych. W Warszawie powstał projekt zakupna na własność ogólną „Hołdu pruskiego” i wybudowania dla Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych własnego gmachu — nieprawdaż jakie to wszystko piękne i zacne myśli i projekta!

Mieć własne muzeum na Wawelu, jak monachijskie lub norymbergskie — stworzyć w Warszawie przybytek malarstwa na wzór drezdeńskiego, zakupić najświeższy obraz mistrza Matejki — komuż z nas żywiej serce nie zabije, na myśl dodatnich następstw tego podniesienia się estetycznego i naukowego poziomu naszego społeczeństwa, czyjaż duma nie będzie pogłaskaną na widok zebranych skarbów przeszłości i teraźniejszości — a jednak!

Ach ta pessymistyczna rusałka! dlaczegoż mnie nie opuszcza i szepce:

Dwa lata mija a ojcowie „muzeum”, jak prawdziwie muzealne zabytki archeologiczne milczą zawzięcie i głucho—i ciemno około muzeum! Nie zdobyliśmy się na składkę Mickiewiczowskiego pomnika, a projektujemy dwie nowe na zakupno obrazu i na wybudowanie gmachu!

Setki i tysiące rubli, pięknych i gorących słów rzucamy hojną ręką na cele estetyczne, a nie widzimy, setek i tysięcy biednych, którym nie estetyki, lecz elementarnej nauki, nie sztuki, lecz chleba do ręki brakuje i w walce o byt giną marnie, z wielką szkodą społeczeństwa!

Iluż to biednych chłopców łaknących nauki odejdzie od wrót szkoły, gdyż dziś już pisma codzienne donoszą, że gimnazya i szkoły realne są przepełnione!

Miałżebym być wyjątkiem uprzywilejowanym, który, dzięki rusałce, lepiej widzi i słyszy?

Wcale nie — każdy rozumny człowiek to widzi i odczuwa, ale — wielom milszy jest rozgłośny czyn, który popularyzuje nazwisko, aniżeli cicha i skromna ofiara, która nie poda nazwiska potomności, lecz musi się ograniczyć na kilkunastu lub kilkudziesięciu w mniejszym lub większym stopniu wdzięcznych biedakach!

Lecz posłuchajmy co mi śpiewa złotousta rusałeczka!

Jakiż postęp naszej sztuki dramatycznej i operowej! Dawniej utwory takie jak: „Trzydzieści lat życia szulera”, „Chłop panem milionowym”, „Matka z ludu” etc. zadawalniały nasze wymagania i potrzeby estetyczne i moralne—dziś jesteśmy wybredniejsi, nawet od ogródkowych teatrzyków wymagamy sztuki i artyzmu. Lecz przy tem zapotrzebowaniu utworów dramatycznych zeszliśmy na to, że autorzy targują się jak przekupnie o każdy grosz i licytują swe utwory, inni ogłoszeniami sprzedają „dwie oryginalne sztuki teatralne w hotelu niemieckim” — a dyrektorzy, oczerniając swych kolegów i poniżając niesłusznie drugich, żebrzą publicznie litościwego przechodnia o grosz—obiecując *„przynajmniej”* zrównać się z repertuarem Warszawskich Teatrów! Że się znalazł taki p. K., który zasłużone niepowodzenie przypisuje nieudolności zmarłego dyrektora (jest pewny bezkarności!), to tak bardzo nas nie dziwi, gdyż błądzić jest rzeczą ludzką, ale, że znalazła się redakcya, która tę elukubracyą pomieściła — to już należy do tajemnic stanu! Sztuka poszła dziś w służbę rubla, i biedna, upokarzana, zalewana piwem i oszołomiona bakchanaliami wlecze swój nędzny żywot.

Nasze piśmiennictwo rozwija się z dniem każdym, książki mniejsze i większe opuszczają prasę i figurują jako „nowości”, na wystawach księgarskich. W jednym miesiącu lipcu zanotowano, że firma, bardzo zresztą czynna pp. Gebethnera i Wolffa dała dziewięć nowości książkowych! Zanim mój kolega po piórze przystąpi do ich oceny, pozwolę sobie zacytować ich tytuły, aby pochwalić się przed czytelniczkami szybkim rozwojem literackim. Więc mamy: „Na tułactwie” Kraszewskiego, „Na manowcach” Wilczyńskiego, „Komedye” Koziebrodzkiego, „Chopin” Karasowskiego, „Pogadanki o życiu” Wernica, „Z przeszłości Polesia Kijowskiego” D-ra Antoniego J., „Ostatnie lata Witołda” Prohaski, „Szkice” Karwickiego i „Rady dla młodych mężatek” D-ra Sawickiego— wszak ładna liczba i ładne tytuły! Tylko, że wśród tego spisu mamy dwie powieści, jeden zbiorek komedyjek, rozszerzoną przeróbkę życiorysu, jedno bezskuteczne kazanie, dwie prace historyczne, arcyniedolne szkice i podręcznik praktyczny!—Czy książki te wzbogacą bardzo naszą naukę? czy rozszerzą horyzonty naszej wiedzy? Czy przyczynią się do zamiłowania i zachęcenia do pracy nad prawdziwą nauką?

Na wszystkie te pytania moja demoniczna rusałka robi taki rozpaczliwy giest, że nie mogę wątpić w jej wyraźnie przeczącą odpowiedź.

Faktem jest, że praca dziennikarska pochłania bardzo znaczną liczbę ludzi, którzyby mogli pracować skutecznie nad nauką i zamiast dorywczych artykułów dziennikarskich napisaliby dzielny podręcznik, spopularyzowaliby naukowe rezultaty i mogliby nad niemi skutecznie i pożytecznie pracować.

Bo czyż nam brakuje zdolnych i pracowitych ludzi?

Wcale nie!

Ale pracujże dla nauki ścisłej, gdy nie masz kawałka chleba. Gdy nie możesz za setki rubli kupować książek, a bibliotek nie ma. Gdy wydawnictwo pracy naukowej należy do rzeczy tak trudnych, że bezpłatne oddanie pracy do druku, należy do osobliwszego szczęścia!

A ileż pomniejszych przyczyn pomijam w tej chwili!

Jednak my mamy wielki szacunek dla ludzi uczonych. Tak wielki, że wystarcza, by ktoś pracował w archiwach, sześć lat przepędził za granicą, nic nie napisał przez ten czas, a w nagrodę za to Kuryery i nie Kuryery ogłoszą go „naszym znanym, uczonym badaczem!” Jakaż rozrzewniająca wdzięczność narodowa! Ileż głębokiego poczucia sprawiedliwości!

Cóż dopiero się dzieje, gdy się pokaże jakaś elukubracya lub kompilacya, jak np. „Olbracht Łaski” albo „Hołdy pruskie”. Na trójnogu zasiada krytyk, rozdziela laury i wieńce nieśmiertelności, wypowiada zdania z naiwnością, któraby była śmieszną, gdyby nie była tak smutną, i z powagą głęboko uczonego męża prawi o Grunwaldzie z końca XV wieku, o Janie Kazimierzu XVI wieku, o Tyrteuszu zbawiającym ojczyznę, o Janie Złotoustym inicyatorze krucyat i tem podobne herezye naukowe!

Jakżeż posmutniała moja dobra, wyrozumiała i przebaczająca rusałka — a ta druga, jakżeż tryumfuje!

Ale dość już tych smutnych rzeczy, zwróćmy się do tej pieśni mej czarnookiej rusałki, która stara jak świat, jest jednak zawsze świeżą, zawsze nową, gdyż to nieśmiertelna pieśń miłości.—Snać nie naprożno ma Warszawa w herbie nęcącą syrenę, która zaplatając swe złote warkocze nęci mężczyzn do... jarzma małżeńskiego. Oto jedno z pism codziennych donosi, że w przeciągu jednego tygodnia weszło w związek małżeński, w jednej parafii warszawskiej 113 par zakochanych. Ileż to szczęścia, rozkoszy, snów złotych i marzeń! Lecz czy wszyscy są szczęśliwi, czy wszyscy kochają i są kochani, rzuciła moja demoniczna rusałka i spojrzała przytem na mnie z takiem współczuciem, że zasmucony odwróciłem się szepcząc słowa poety:

„Dla innych świeci słoneczko z nieba,
A dla nas wieczne mgły —
Kochać nie wolno, zapomnieć trzeba,
A w sercu sny i sny.

Certus.

TEATR NOWY
W WARSZAWIE.

Wkrótce minie dwa lata, jak założono t. z. „Teatr nowy” w Warszawie, czas więc rozejrzeć się w jego działalności i skutkach.

Założenie tego teatru miało cel podwójny, a mianowicie wyrobienie sił młodych, któreby później uzupełniały ubytki Teatru Rozmaitości, a następnie Teatr Nowy miał stworzyć odrębny repertuar sceniczny, wciągając w swój zakres sztuki ludowe, wodewile, wesołe farsy i t. p. sztuki, które musiały być wykluczone z poważnego repertuaru Rozmaitości i Wielkiego.

Ów teatr nowy wyposażono bardzo skromnie; dlaczego i z jakich powodów tak obeszła się dyrekcya z nowym teatrem w to nie chcemy wchodzić — faktem jest, że słabo wyposażony teatr, dzięki energii i zapobiegliwowości p. Stromfelda, rezyszera, zaczął prosperować i nietylko pokrywał wydatki, lecz nadto przynosił wcale dobre dochody.

Repertuar w krótkim czasie zyskał na oryginalności. Ze sztuk ludowych odegrano: „Chłopów arystokratów", „Błażka opętanego", „Łobzowian", „Emigracyę chłopską" i „Czartowską Ławę", z lekkich fars: „Żony uczonych", „Grube Ryby", komedyjki Gawalewicza, Świderskiego i innych, wreszcie kilka zabawnych fars francuzkich.

Naturalnie nie brakło tam i gorszych rzeczy jak np. „Proces Vauradieux", „Panny na wydaniu", „Trzy kapelusze", „Żyd w beczce" etc.

Ale koniec końców dział komedyi w Teatrze Nowym rozwijał się pomyślnie, miał już swą publiczność i odrębny charakter.

Nie mniej wyćwiczył on i podniósł siły artystyczne jak panie Czaki, Micińska, Borkowska, i pp. Galasiewicz, Grubiński, Siemiaszko, Sikorski, Jaśkiewicz i inni.

Również widoczną była praca rezyszerska w ensemblach, gdy przypomnimy, że „Grube ryby" grano 40 razy a „Hanibala" przeszło 20 razy.

Operetka tegoż teatru została prawie zupełnie oddzieloną od komedyi, a rezyszeryą tejże powierzono p. Morozowiczowi.

Był to wybór w każdym razie nieszczęśliwy, dość wspomnieć, że w ciągu istnienia tego teatru z nowych operetek wystawiono jednoaktową p. t. „Bęben" i trzyaktową „Rabusie cudzej (?!) zwierzyny", która ogólnie się nie podobała. Wymieniamy tylko dwie operetki, gdyż reszta jak: „Zemsta nietoperza", „Dzwony Kornewilskie", „Wyspa Tulipatan", były ograne po ogródkach a siły operetkowe zrekrutowane z ogródków umiały już owe operetki.

Dziś gdy dyrekcya zamierza przystąpić do reorganizacyi Teatru Nowego, byłoby może na czasie postarać się o zdolnego kierownika operetki. I tak nie szukając daleko mamy p. Zboińskiego, artystę i b. rezyszera lwowskiego teatru. Działalność tego utalentowanego artysty we Lwowie daje rękojmię, że potrafi dzielnie poprowadzić operetkę jako rezyszer.

Następnie ośmielamy się zwrócić uwagę dyrekcyi Teatrów na brak angażowanych artystów do komedyi i dramatu, a ztąd powstają takie luki i braki sił artystycznych, że trudno wystawić nową sztukę, zwłaszcza, gdy siły te zostają użyte i w innych teatrach.

Wreszcie widziemy zupełne zaniedbanie repertuaru w ostatnich czasach, gdzie podawano nam takie nowości jak „Owoc zakazany" lub „U ciotuni".

Jeśli Teatr Nowy ma mieć powodzenie i racyę bytu w Warszawie, a jak widzieliśmy był on na drodze rozwoju za czasów rezyszeryi poprzedniej— to należy iść w ślady poprzednika w komedyi i dramacie — kierunek operetki zmienić a przynajmniej polecić rezyszerowi więcej dbałości w wyborze sztuk i spieszniejsze odnowienie repertuaru — wreszcie należałoby się postarać o przyzwoitszą salę zimową, aniżeli Grancowa.

Rzucamy tu tylko kilka uwag, a przy sposobności, powrócimy jeszcze do tego przedmiotu.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Teatr polski w Pawłowsku cieszy się ciągłem powodzeniem. Dzienniki rosyjskie nie szczędzą pochwał komedyom i grze artystów, którzy tworzą wyborny ensamble. Największem powodzeniem cieszy się pani Hoffmanowa. Krakowska artystka grą swoją w kilku rolach zyskała nader pochlebną ocenę dzienników, które w gruntownych sprawozdaniach, wykazując i niedostatki gry jej, stawiają ją w rzędzie najznakomitszych artystek. Z innych osób korzystnie wyróżniają: pp. Stachowicz, Wojnowską, Pysznik, Wojdałowicza, Szymańskiego, Żelazowskiego i Frenkla.

*** Piękny przykład szlachetności i prawości charakteru dał pewien włościanin ze wsi Biernacice pod Turskiem. Przy formowaniu tabel likwidacyjnych, zapewnie przez pomyłkę, przyznano mu prawo pasania na wspólnem pastwisku trzech krów, jakkolwiek wtedy miał rzeczywiście dwie. Początkowo nie pociągało to za sobą żadnych następstw i gospodarz jak i dawniej dwie krowy na paszę wyganiał, lecz przyszło do uregulowania serwitutów, przy którem za każdą sztukę bydła dwór dawał włościanom po mordze lasu; gospodarz ów otrzymał trzy morgi, choć właściwie dwie tylko mu się należało. Otóż ta przysądzona mu morga lasu więcej zatruwała spokój poczciwego włościanina; chcąc uspokoić sumienie, poszedł do spowiedzi i umocniony radą spowiednika, udał się do dziedzica i opowiedział mu jak się rzecz miała.

Wzruszony tą prawością charakteru włościanina dziedzic, uściskał go prosząc aby ową morgę lasu zatrzymał jako podarek od niego, a w ten sposób posiadanie jej nie będzie mu już ciążyć na sumieniu. Od owej chwili, pomimo różnicy wychowania i stanowiska, pomiędzy dziedzicem i włościaninem zawiązał się stosunek przyjazny, szczery i trwały, bo oparty na wzajemnym szacunku i ufności — a łatwo pojąć jak dobroczynnie oddziałać on może na stosunki dworu i gromady. Dzięki niebu nie potrzebujemy lekać się zbytecznie o przyszłość społeczeństwa, u podstaw którego tak zacne i szlachetne pojawiają się poczucia.

*** W Przemyślu zajmują się urządzeniem wystawy rolniczo-przemysłowej, która ma być otwartą dnia 1 września i trwać do 1 października r. b. Jednocześnie zawiązał się oddzielny komitet, w celu urządzenia w tymże czasie wystawy obrazów, szkiców i rzeźb, a nie mając dokładnych adresów artystów—co nie dozwala mu wysłać oddzielnych zaproszeń, zwraca się do nich za pośrednictwem odezwy, o której powtórzenia uprasza wszystkie pisma polskie z uprzejmą prośbą, aby raczyli przyjąć udział w rzeczonej wystawie, nadsyłając prace swoje na koszt komitetu.

Dochód czysty uzyskany ze wstępu na wystawę, oddany będzie na rzecz pomnika Mickiewicza. Odezwę swoją komitet kończy jak następuje:

„Do urządzenia wystawy skłania nas najpierw spodziewany nader liczny zjazd zwiedzających wystawę przemysłowo-rolniczą, co da sposobność wielu nie często zwiedzającym wystawy miast stołecznych, zapoznania się z nowoczesnemi pracami naszych artystów, powtóre że tak liczny napływ gości nastręczy wystawcom łatwość zbycia obrazów, w czem komitet chętnie pośredniczyć będzie."

Może panowie artyści nasi zechcą zadość uczynić wezwaniu komitetu, czego życzyćby należało.

*** W Czechach zacznie wkrótce wychodzić „Slovansky Obzor", czasopismo poświęcone wzajemnym stosunkom Słowiańszczyzny w zakresie literatury i sztuki. Wszystko, co tylko piśmiennictwa pobratymcze mają najświetniejszego zamieszczanem będzie w nowym dzienniku, między współpracownikami którego figuruje Kraszewski. Celem pisma będzie bliższe wzajemne poznanie się na niwie umysłowego dorobku, co w ostatnich czasach, zwłaszcza w południowej Słowiańszczyznie, tak szybko wzrasta. Rękojmia pomyślnego rozwoju czasopisma spoczywa w jego redaktorze, którym jest znany Szwab-Polabsky.

*** Dnia 13 b. m. odbyła się w Paryżu wielka uroczystość narodowa otwarcia odbudowanego ratusza. Wiadomo że stary ratusz zburzony został podczas komuny. Na jego podobiznę wzniesiony jest nowy w stylu francuzkim, o wspaniałej jednopiętrowej fasadzie, z frontem podwójnym zwróconym do placu i do Sekwany, o wspaniałych ozdobach okien i krańcowych gzemsach, o wysokich łukach bram i dwupiętrowych pawilonach ze stromemi dachami. W środku budynku wznosi się wieża z dzwonem u wierzchu, jaki na dawniejszym gmachu niegdyś tyle burz i radości zwiastował miastu, a ilekroć Delfin przychodził na świat, dzwonił bez ustanku przez trzy dni i trzy noce. W dawnym ratuszu zbiegały się tętna życia całej Francyi już od roku 1357 — gdy się obecnie odezwał po raz pierwszy w dniu święta narodowego, jakże dalekiej przeszłości musiał zbudzić wspomnienia!... W roku 1357 kupił „Hôtel de Ville" (inaczej zwany „domem słupowym") pierwszy burmistrz Paryża Stefan Marcel, i ten to wójt kupców, rzeczywisty wówczas władzca miasta (gdyż król Jan wzięty został do niewoli pod Poitiers) założył tu pierwsze podwaliny, pierwszą zewnętrzna oznakę siły i praw mieszczaństwa. Nie były one przyznane prawem, ale na wpół gwałtem zdobyte. Wprawdzie później odebrano mieszczaństwu ten ratusz, lecz odzyskali go znowu w roku 1415 i trzymali w swem posiadaniu do czasu zniszczenia przez komunę. Na jednem miejscu, tuż przy Sekwanie, stary ratusz stał lat 500. W nim to Ludwik XI, uważający mieszczaństwo za fundament tronu, łamał się chlebem z mieszczanami, nazywając się ich „bratem i towarzyszem". Tu odbywały się uczty królewskie z okoliczności odniesionych zwycięztw, wstąpienia na tron, zaślubin i t. p. Gdy urodził się Delfin, to jest następca tronu, miasto trzymało go do chrztu, a gdy burmistrz miał syna, królowa była jego chrzestną matką. Nawet dumny Ludwik XIV szukał zbliżenia z mieszczaństwem. Przed ratuszem roztaczał się plac na którym tracono przestępców; na nim stanęła gilotyna w 1792 roku. Stary pierwotny gmach zaczęto przebudowywać w roku 1833 i ukończono za panowania Ludwika Filipa.

*** Czytamy w „Nowinach". Bardzo słuszny i gdyby się utrzymał, płodny w następstwa wniosek, złożyli przed paru tygodniami na biórze prezydyonalnem Izby francuzkiej, deputowani Girault i Bellot, dotyczy on wydawania *patentów na próżniactwo*, ma się rozumieć za wyznaczoną opłatą. Oto jego artykuły:

Art. I. Nikt nie może wyzwolić się od pracy, jak tylko za opłaceniem prawa kompensacyjnego oznaczonego nazwą: patentu próżniaka.

Art. II. Za próżniaka uważa się każdy nie znajdujący się w warunkach następujących:

1) robotnika w fabrykach, warsztatach, słowem zajętego jakąbądź pracą; 2) urzędnika handlowego, przemysłowego lub administracyjnego; 3) literata, pełnomocnika, fabrykanta, przemysłowca, posiadacza jakiegoś patentu, rolnika, kaleki lub człowieka liczącego już lat 60.

Art. III. Nie są wolni od patentu i opłaty: 1) właściciele bez zajęcia, dozorujący za pośrednictwem rządzców i dzierżawców; 2) wszyscy którzy jedynie dla rozrywki zajmują się drobnemi zajęciami mechanicznemi i t. p.

Art. IV. Patent próżniactwa podlega następującej opłacie rocznej: 1) opłata stała 100 fr.; 2) opłata proporcyonalna: 50 od sta od pozycyi głównej podatków bezpośrednich.

Nie zdaje się aby wniosek ten przeszedł i pozyskał moc prawa; jednakże może być wzięty pod rozwagę, co wywołałoby w Izbie prawodawczej rozprawy wyprowadzające na jaw wszystkie kategorye próżniactwa, jakoteż wynikające z nich następstwa, które w połączeniu z nędzą i ciemnotą, krzewią i rozszerzają w społeczeństwie niemoralność. Próżniactwo jest niewyczerpanem źródłem zepsucia i upadku moralnego; — trudno przypuszczać żeby owe patenta miały zatamować je od razu, ale samo zwrócenie uwagi na tę plagę społeczną, może doprowadzić do wynalezienia jakichś skuteczniejszych środków, lub przynajmniej pobudzić choć cząstkę próżniaków i darmozjadów do zastanowienia się nad sobą i swojem bezużytecznem, poniżającem życiem. Co do nas, gdybyśmy zasiadali w Izbie deputowanych francuzkich, gorąco popieralibyśmy ten wniosek, przynajmniej dopokąd nie znajdzie się radykalniejszy środek.

Ileż to i u nas osób musiałoby podatek ten opłacać!

*** Przekonano się obecnie że pieniądze papierowe istniały w najodleglejszej starożytności, i bynajmniej nie są pomysłem europejskim. Jeszcze r. 119 przed erą chrześciańską, uskuteczniano tam wypłaty za pomocą małych kwadratowych kawałków pargaminu, a w X-ym wieku naszej ery rząd chiński wydał już rodzaj bonów skarbowych jak to wyraźnie opiewał edykt cesarski, w celu „rozwinięcia i ułatwienia handlu”. Bony te, opatrzone stemplem rządowym, ważne były na całej przestrzeni państwa niebieskiego. W wieku XIII, *Marco Polo* widział już wszędzie w Chinach papierowe pieniądze, mające też samą wartość co i moneta srebrna. Puszczono je w obieg w kształcie kwadratowych kuponów, przyrządzonych ze ścisłej papierowej masy, i opatrzone podpisem cesarza i wszystkich mandarynów. Fałszowanie tych pieniędzy pociągało za sobą straszne kary. Wyprzedziwszy w wielu rzeczach kulturę zachodnią, Chińczycy pierwej niż państwa europejskie zrozumieli potrzebę znaku wymiany, którego wartość nie zasadzała się na materyale z jakiego był wyrobiony, lecz w kredycie jaki posiadał wystawca.

Lecz i u innych starożytnych ludów znajdują się ślady podobnej monety. Dyonizy Syrakuzki w epoce braku pieniędzy, wprowadził monetę cynową z przymusowym kursem, a i Kartagińczycy używali także znaków wymiennych, sporządzanych z nieznanej substancyi i zawijanych w skórę. Pokazuje się iż nie darmo to mówią „iż nie ma nic nowego pod słońcem.

*** Londyńskie stowarzyszenie dla rozwoju pracy i ułatwienia zarobku kobietom (*Society for promoting the employment of women)* wyłączyło z zakresu swej działalności pracę igłą, jako wszechstronnie rozpowszechnioną, znajdującą liczne zastosowanie i poparcie, a więc nie wymagającą szczególniejszej opieki. Natomiast wprowadzono naukę pielęgnowania chorych, rysunku a głównie wzorów do przędzalni, do obić, kart adresowych i wszelkich ozdobnych litograficznych produkcyi, oraz malarstwa na drzewie, szkle porcelanie i t. p. Oprócz tego uczą się kobiety sztuki fryzyerskiej i wyrobów z włosów. Dalej stowarzyszenie zaleca kształcenie się w obsłudze przy rozmaitych zakładach, w zastawianiu stołu i posługiwaniu do niego zamiast najmowanych lokai. Obecnie w Londynie weszło w zwyczaj że do podawania potraw, krajania pieczystego, ozdabiania półmisków, wykwintnego urządzenia zastaw stołowych używają doskonale wyuczonych dziewcząt dając im pierwszeństwo przed lokajami, którymi posługują się tylko przy obiadach męzkich, do służby przedpokojowej, w pokojach do palenia cygar i do posyłek na miasto. Panie angielskie przekonały się że dziewczęta lepiej wywiązują się ze swoich obowiązków i bez porównania mniej kosztują. Niepodobna zaprzeczyć że powyższe zajęcia daleko właściwsze są dla kobiet niż dla mężczyzn, którzy powinniby pożyteczniejszej oddawać się pracy.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 14 Іюля 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 30, r. 1882.

LABIRYNT.

(Within The Maze.)

Przez

MISTRES H. WOOD.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

— Prawda, odrzekł Karol, ale na nieszczęście zbyt często zapominasz że te środki jedynie mogę cię ocalić, wszakże i dziś siedzisz tu między nami we fraku. Wyrzecz się nadal, Adamie, tej niebezpiecznej fantazyi, ukrywaj się jak najstaranniej, proszę cię o to jak o największą łaskę. Później, skoro niebezpieczeństwo minie — jeżeli tylko Bóg pozwoli aby przeminęło — wrócisz do twych dawnych nawyknień, chociaż, według mnie, może to w każdym czasie okazać się zgubnem.

— Zobaczymy, rzekł Adam.—Było to wielkie ustępstwo z jego strony.

— Dzień i noc miej się na baczności; bądź w każdej chwili przygotowanym na jakiś wypadek, na jakieś niespodziewane zdarzenie. Enen oświadczył że ma zamiar prosić o pozwolenie czynienia poszukiwań w Labiryncie; w razie gdyby do tego przyszło, ostrzegę cię jeżeli to będzie możliwem. Jednak najpewniejszą rzeczą będzie przewidywać zbliżanie się nieprzyjaciela za każdym odgłosem dzwonka, za każdym szmerem jaki wśród drzew usłyszysz za każdem gwizdnięciem wiatru.

— Miłe życie! mruknął Adam. Dałbym wiele za to gdybym był nigdy nie przestąpił progu Labiryntu.

— A! czemuż tego cofnąć nie można! zawołał Karol.

— Jednak, niepodobna zaprzeczyć że jest to najwłaściwsze dla mnie miejsce, tu jestem u siebie. Czy nie wypada aby mój syn i spadkobierca, wzrastał wśród swych posiadłości? Te słowa brzmią niemile w twych uszach. Karolu, ale cóż chcesz... nie mogę wyzuć mego syna z praw jakie nadaje mu urodzenie.

— Nie żądam i nie żądałem nigdy nic podobnego.

— Możesz być pewnym i zapewnić swą żonę że pomyślę i o dalekiej waszej przyszłości. W każdym razie, Foxwood zostanie w twych rękach jeszcze dwadzieścia jeden lat, wraz z dochodem potrzebnym na utrzymanie domu na odpowiednią stopę. Skoro mój syn dojdzie do pełnoletności...

— Dajmy pokój tym projektom, jak na teraz, przerwał Karol. Może wszyscy poumieramy zanim to nastąpi. Co do mnie, nie umiem przewidywać przyszłości, nie mów mi więc o tem co ma być po tylu latach.

— Mówisz bardzo rozumnie, Karolu. Niekiedy myślę o tem pomimowolnie... ale niepotrzebnie wyrażam to głośno. Jakto! odchodzisz?

— Tak, już późno. Gdyby nie konieczność ostrzeżenia cię, nie przyszedłbym wcale dziś wieczorem. Czy zechcesz być ostrożnym, Adamie? dodał ściskając z uczuciem rękę brata.

— Nie kłopocz się tak niepotrzebnie, będę czujnym i uważnym, odpowiedział Adam swobodnie, żegnając Karola. Słuchaj Karolu, dodał już poważniej, Bóg wie że odpokutowałem ciężko za moje winy. On wie że od świtu do zachodu słońca, od zmierzchu do rana, życie moje to tylko długa i nieprzerwana pokuta, i wierzę głęboko, że w swem nieprzebranem miłosierdziu, zechce odwrócić ode mnie to nowe niebezpieczeństwo. Niech ci to doda otuchy, Karolu, bądź dobrej myśli. Tak się ciągle troszczysz o mnie, że więcej niż ja potrzebujesz pociechy i uspokojenia.

Trzymał ciągle rękę brata, gdy ten żegnał się z Różą, a następnie wyszedł z nim do ogrodu, skoro Anna Hopley odryglowała drzwi. Odkąd niebezpieczeństwo się wzmogło, zasuwała drzwi wieczorem grubą żelazną sztabą.

— Nie wychodź, prosił Karol.

— Tylko parę kroków.

Karol ustąpił; w tej chwili nie groziło niebezpieczeństwo, ale właśnie w takich drobnostkach Adam okazywał się nierozważnym.

— Nie zataiłeś nic przede mną, Karolu? rzekł gdy doszli do Labiryntu. Może obawiałeś się mówić w obecności mej żony?

— Powiedziałem wszystko. Zdaje mi się że i tego aż nadto.

— Mogło być jeszcze gorzej. Przypuśćmy na chwilę że to mnie szukają a nie Salter'a... Ale potrafię wyprowadzić ich w pole... nie lękam ich się wcale.

— Nie pójdziesz już dalej, Adamie; skoro ten człowiek już raz wszedł do Labiryntu, któż wie czy nie wejdzie powtórnie?

— Do widzenia, mój ty bojaźliwy braciszku.

— Wracaj i każ drzwi dobrze zaryglować.

— Bądź spokojny. Dobranoc.

Karol zniknął w uliczkach labiryntu; Adam spoglądał czas jakiś za odchodzącym, a następnie poszedł wolnym krokiem do domu; nagle uczuł tak gwałtowny i straszny ból w boku, że zachwiał się i aby nie upaść wsparł się o drzewo.

— Co to jest? Zkąd to pochodzi? rzekł do siebie gdy atak przeminął, ocierając chustką zimny pot z czoła. Anna Hopley ma słuszność; trzebaby poradzić się doktora... Ale mogęż to uczynić!... zwłaszcza teraz gdy nowe znów grozi mi niebezpieczeństwo. Co to słychać?... a! to tylko szmer wiatru przeciskającego się między listkami.

Przysłuchiwał się jeszcze przez chwilę, poczem mówił znów do siebie.

— Nie rozumiem jaki jest powód tych ataków; gdyby ten ból dokuczał mi w lewym boku, możnaby sądzić że to choroba serca. Gdy mój ojciec uczuł pierwsze objawy choroby która go zabiła, miewał takież same i równie straszne ataki; ale ludzie w moim wieku ulegają bardzo rzadko podobnym cierpieniom... Może niepokój i troski przyczyniają się do rozwinięcia choroby? Jeżeli tak...

Jakiś szum i przeraźliwy krzyk rozległ się tuż nad jego głową, i Adam zachwiał się jakby uderzony kulą. To sowa zerwała się z drzewa, pod którem stał Adam, wydając swój krzyk ponury, a jednak tak był tem przestraszony że znów na chwilę utracił siły. Jeżeli człowiek zwykle tak odważny i spokojny, posiadający tak odmienne usposobienie od wrażliwego Karola, nie pojmujący co to jest rozdrażnienie nerwów i śmiejący się z tych którzy się na nie uskarżali, mógł być do tego stopnia przerażonym krzykiem nocnego ptaka, łatwo sobie wyobrazić, jak ciężkiem musiało być jego życie, zwłaszcza w ostatnich czasach, i do jakiego stopnia wyczerpało jego energię. W obec świadków umiał jeszcze zachować maskę obojętności — nawet pozostał do pewnego stopnia lekkomyślnym i nieostrożnym — ale nie ulega wątpliwości że pojmował dokładnie całą okropność swego położenia.

Karol przewidział jakie życie czeka brata, gdy matka starała się ułatwić mu ucieczkę z wyspy Portland, i przewidywania jego spełniły się dokładnie,—było to życie nędzne i pozbawione wszelkiej swobody, życie pełne niepokoju wynikającego z obawy aby nie zostać schwytanym powtórnie. Sama myśl że może być aresztowanym przerażała Adama, a jednak gdyby będąc na wyspie Portlad, mógł był zdać sobie dokładnie sprawę z tego co go czekało jako zbiega, kto wie czy los więźnia nie wydałby mu się bez porównania znośniejszym. W obecnej chwili, otoczony cieniami nocy, które podbudzona jego wyobraźnia zaludniała przerażającemi widzeniami, czuł dokładnie całą okropność swego położenia. Przez gałęzie drzew, które jesień zaczynała już ogołacać z liści, mógł widzieć gwiazdy iskrzące się na niebie.

— *Tam* będę szczęśliwszym, rzekł wznosząc w górę oczy. Niech się stanie wola Twoja wszechmocny i miłosierny Boże! Życie moje jest już tylko ciężarem, nieprzerwanem pasmem cierpień i boleści...

— Panie!—odezwał się jakiś głos cichy z wyrazem niepokoju.—Czy pan tu jest? Pani się niepokoi; pragnie abym jak najprędzej zamknęła drzwi.

— Dobrze, zamknij drzwi Anno, zabarykaduj je nawet, ale drzwi najszczelniej zamknięte nie zdołają zabezpieczyć człowieka od wszystkich jego nieprzyjaciół.

Karol tymczasem doszedł do bramy, przysłuchiwał się czas jakiś, a następnie wyszedł śpiesznie i przebiegł na drugą stronę drogi. Wtenczas spostrzegł że pan Smith znajdował się na swem ulubionem miejscu, to jest stał przy furtce wsparłszy się na niej łokciem.

— Dobry wieczór, rzekł Karol przechodząc.

— Może będziesz łaskaw, sir Karolu, wstąpić do mnie na chwilę. Potrzebuję pomówić z tobą, sir, i dla tego tu czekałem.

— Czy to cóś ważnego? zapytał Karol wchodząc do ogródka.

— Biegnę zapalić światło, sir, i zaraz wrócę.

Światło zabłysło w oknie i po chwili pan Smith wyszedł ze świecą do sieni i wprowadził Karola do pokoju na lewo, w którym rzadko przebywał.

— Tu już okiennice są zamknięte, powiedział, w innych pokojach zamykam je dopiero gdy się udaję na spoczynek.

— Powiedz mi pan prędko, panie Smith, o co chodzi, już późno i mogą się dziwić w domu że dotąd nie wróciłem z przechadzki.

— Chciałem zapytać, sir Karolu, czy domyślasz się tego że cię szpiegowano gdy wchodziłeś do Labiryntu?—rzekł pan Smith tak cicho że go zaledwie można było dosłyszeć. Jedyna jego służąca spała już dawno w swojej izdebce na górze, ale pan Smith był bardzo przezorny.

— Nie. Któż mnie szpiegował?

— Dwie osoby, sir Karolu. Jedną z nich była miss Blake, drugą ten jakiś jegomość, który, jak

mi się zdaje, nie bez ukrytego celu węszy skrycie po wszystkich kątach.

— Czy pan mówi o panu Enen?

— Tak, o tym który mieszka u wdowy Jinks. On i miss Blake stali przy bramie ukryci między drzewami, i odeszli razem gdy już wszedłeś do Labiryntu, sir Karolu.

— Dla czegóż mnie śledzili? W jakim celu? zapytał niespokojnie Karol.

— O ile mogę sądzić, miss Blake uczyniła to nierozmyślnie. Widziałem że szła śpiesznie od strony kaplicy, a choć było już tak późno—może Cattacomb wymyślił znów jakieś nocne nabożeństwa. Widać że dochodząc do bramy usłyszała odgłos twych kroków, sir Karolu, gdyż ukryła się śpiesznie za drzewa, a skoro zamknąłeś za sobą bramę, wyszła na drogę ale już z panem Enen. To dowodzi że czatował tam już dawno, w tym jedynie celu aby cię szpiegować.

Karol zamyślił się. Słowa pana Smith powiększyły jego niepokój.

— Poszedłem właśnie do Labiryntu, rzekł nakoniec, w celu ostrzeżenia Adama, chcąc mu zalecić aby w dzień i w nocy był gotowym na wszelki wypadek. Ten człowiek, o którym pan mówisz, jest ajentem londyńskiej policyi.

— Jakto!... pan Enen? zapytał rządzca z wyrazem najgłębszego zdumienia!

— Tak, pan Enen.

Twarz pana Smith przedłużyła się widocznie.

— Ale cóż on tu robi? zapytał. Kogo tu szuka? nie sir Adama, zapewnie.

— Nie, nie sir Adama. Poszukuje zbiega... którego tu nie ma i nie było nigdy, dodał Karol, nie chcąc wyrażać się jaśniej, bo wszakże mówił do człowieka, którego nie dawno jeszcze, sam posądzał że był właśnie tym zbiegłym zbrodniarzem, i obecnie wyrzucał sobie że go pokrzywdził tak niesłusznem podejrzeniem.—Ale trzeba się obawiać aby policya szukając jednego, nie wpadła na ślad drugiego.

Rządzca skinął potwierdzająco głową.

— Jednak na Labiryncie nie cięży podejrzenie?

— Przeciwnie, pan Enen podejrzywa głównie Labirynt, odpowiedział Karol, a to dzięki gadatliwości wprowadzonej tam przez pana Moore dozorczyni chorych.

Z ust pana Smith wysunęło się niezgodne z miłością bliźniego życzenie, tak dla mistress Chaffen, jak dla wszystkich wielomównych kobiet.

— Pan Enen poszukuje tu człowieka którego nie znajdzie; który z pewnością nie przebywał nigdy w tej okolicy, mówił dalej Karol, a pomimo to był on i jest przekonanym że ten człowiek ukrywa się w Foxwood. Skoro więc usłyszał od mistress Chaffen że widziała w Labiryncie gentlemana we fraku, który następnie znikł bez śladu, wyprowadził z tego wniosek że tym gentlemanem ukrywającym się tak starannie jest właśnie poszukiwany przez niego przestępca. Od tej chwili krąży prawie ciągle koło Labiryntu.

— Niebezpieczeństwo jest groźne, szepnął rządzca.

— Sam teraz musisz przyznać, panie Smith, że byłoby lepiej gdyby Adam nie postał tu nigdy, a przynajmniej gdyby mu dozwolono oddalić się ztąd jak to już dawno radziłem.

— Niepodobna nawet myśléć o tem obecnie aby mógł ztąd wyjechać, odpowiedział spokojnie rządzca. Podobne przedsięwzięcie byłoby szaleństwem, w chwili kiedy podejrzenia policyi zostały rozbudzone.

— Nikt z nas o tem nie wątpi.

— O! pragnąłbym gorąco wyzwolić go z tej matni! zawołał rządzca z wyrazem głębokiego i szczerego współczucia. Dotąd sądziłem że jest tu równie bezpiecznym jak w każdem innem miejscu... nawet bezpieczniejszym... Po co u licha ten przeklęty ajent tu przybył? Czy go nam tu sprowadził zły duch, czy też zgubne wyroki przeznaczenia! Niebezpieczeństwo jest groźne, sir Karolu, trzeba czuwać ciągle i gorliwie.

Niestety! Karol znał dobrze całą wielkość tego niebezpieczeństwa, a przeświadczenie że to *on* je ściągnął na głowę brata, dręczyło go ciągle, przejmując jego umysł i serce gorączkowym niepokojem; w tej chwili puls jego bił gwałtownie, czuł że mu zasycha w ustach i w gardle.

— Czy mogę prosić o szklankę wody, panie Smith.

— Przyniosę natychmiast, sir Karolu, rzekł wstając.

Światło zabłysło znów w przyległym pokoju, a następnie dały się słyszeć kroki pana Smith oddalającego się do studni. Karol wstał i zaczął chodzić szybko po pokoju. Wzrok jego zatrzymał się przypadkiem na półeczkach z książkami, zawieszonych na ścianie; zbliżył się do nich prawie bezwiednie, wziął jedną ze znajdujących się tam książek, a otworzywszy ją przeczytał na pierwszej stronnicy: „Upominek od matki, dla Filipa Salter."

W pierwszej chwili nie wierzył własnym oczom; ale tak... słowa te były skreślone wyraźnie, pomimo że atrament pożółkł pod wpływem czasu. Spojrzał na tytuł; była to „*Podróż chrześcianina*" przez Bunyan'a.

— Czyby to był rzeczywiście Salter? pomyślał Karol.

W tej chwili wrócił Smith niosąc szklankę wody. Karol podziękował mu, wypił wodę duszkiem i usiadł trzymając książkę w ręku.

— Pozwoliłem sobie przeglądać pana książki. Jest to stare ale wyborne dziełko, panie Smith.

— Rzeczywiście, sir Karolu. Czytam je zawsze z przyjemnością.

— Czy pan zostawał w jakich stosunkach z tym... z tym Filipem Salter, którego nazwisko znajduje się na pierwszej stronnicy?

Pan Smith w miejsce odpowiedzi spojrzał bystro na sir Karola.

— Czy znałeś go osobiście, sir Karolu? zapytał nakoniec.

— Nie, tylko ze słyszenia.

— Prawie wszyscy znają go w ten sposób, odpowiedział rządzca z ciężkiem westchnieniem. Filip Salter był moim blizkim krewnym, sir Karolu.

— Krewnym? powtórzył Karol.

— Tak, moim ciotecznym bratem, matki nasze były rodzonemi siostrami. On był Filipem Salter, ja jestem Filipem Smith.

Karol zrozumiał teraz wszystko.

— Jakiż to był szaleniec z tego Filipa Salter! zawołał Filip Smith, z goryczą dowodzącą jak mu przykro było mówić o tem. Pracowałem w jego biórze, sir Karolu, byłem jego podwładnym, jakkolwiek jestem o kilka lat starszym od niego. Tak mu było łatwo żyć spokojnie i szczęśliwie!... Nikt z nas nie domyślał się że prócz godziwych, prowadzi jakieś nieprawe spekulacye które go w końcu przywiodły do zguby. Wszedł w błoto a ugrzęznąwszy w niem chwycił się niebezpiecznych środków ratunku. Wiadomo panu co z tego wynikło... Dodać tylko muszę że zgubił i mnie także; sądzono że jako tak blizki krewny wiedziałem o wszystkiem, i straciłem posadę a zarazem i możność pozyskania innej.

— Gdzież on jest obecnie? zapytał Karol.

— Nie wiem. Umarł już prawdopodobnie. Po jego ucieczce mieliśmy pewne poszlaki że popłynął do Kanady, ale nie pozyskaliśmy nigdy co do tego pewności, i nie odebraliśmy od niego żadnego listu. Może pędzi tam nędzne życie wśród lasów, i nie śmie pisać do rodziny.

— I ta książka była jego własnością?

Tak; przeszła do mnie wraz z wielu drobiazgami które należały do niego. Ten nieszczęsny wypadek stał się powodem śmierci jego matki, której był jedynym synem. Gdyby to było w mej mocy, mówił dalej z uniesieniem pan Smith, wytępiłbym za pomocą najsurowszych kar, tych wszystkich oszustów którzy dla własnej jedynie korzyści, zachęcają łatwowiernych do gry na giełdzie, przedstawiając im kombinacye zapewniające wielkie i nieomylne zyski. Gdyby nie oni, Filip Salter byłby dotąd uczciwym człowiekiem.

— Nie miałbym nic przeciwko temu, odpowiedział sir Karol; ale na złe o którem pan mówi nie ma lekarstwa, dopóki żądza bogactw istnieć będzie na świecie.

Odchodząc podał rękę panu Smith — czego dotąd nie uczynił nigdy żałując że go posądził niewinnie, i wrócił do domu bardziej jeszcze strapiony i niespokojny jak zwykle.

X.

Jeden dzień z życia Łucyi.

Ciężkie i smutne było życie Łucyi Andinnian. Zdawało jej się często że nie zdoła wytrwać dłużej w powziętem postanowieniu znoszenia wszystkiego cierpliwie i w milczeniu. Drażniło ją sąsiedztwo z Labiryntem, tem więcej iż była pewną że mąż bywa tam ciągle, a każde rozdrażnienie, każde wzruszenie musi szkodliwie oddziaływać na zdrowie, jeżli źródłem jego jest gniew lub zazdrość. Dosyć nam będzie opisać jeden dzień z jej życia aby dać dokładne wyobrażenie o wszystkich innych.

Było to nazajutrz po opisanych powyżej wypadkach. Słońce tak szczodrze w tym roku udzielające ziemi swych ożywczych promieni, i w tym dniu rozweselało ją swem światłem; tylko w sercu Łucyi smutno było i ciemno, zdawało jej się niepodobieństwem aby w niem zabłysła jeszcze kiedyś choćby iskierka szczęścia. Siedziała w swym pokoju na pół ubrana, po nocy spędzonej prawie bezsennie. Jeżeli sen skleił na chwilę jej powieki, dręczyły ją przykre sny, osnute na tle gorzkich myśli trapiących ją w ciągu dnia. Agnieszka czesała jej włosy; nie uszło jej uwagi wzrastające z każdym dniem osłabienie i rozdrażnienie pani, ale nie domyślała się wcale powodu, gdyż Łucya i Karol starali się zawsze troskliwie o zachowanie pozorów. Agnieszka próbowała parę razy zawiązać rozmowę, ale nie usłyszała ani słówka zachęty; Łucya była zajęta swemi myślami.

— Rozłączenie nasze staje się codzień wybitniejszem mówiła do siebie. Wczoraj pojechał do Londynu nie mówiąc wcale po co tam jedzie. Wrócił już późno i zaledwie przełknąwszy szklankę herbaty wyszedł — do Labiryntu, ma się rozumiéć...

Czy milady życzy sobie miéć dziś włosy splecione czy tylko skręcone?

— Uczesz mnie jak chcesz, Agnieszko. Odpowiedziała to z wyrazem zniechęcenia i znów się zamyśliła.

— Jestem pewna że Teresa widziała że tam

wchodził; gdy wczoraj wróciła do domu wyraz jej twarzy był tak surowy i ostry... i spoglądała na mnie z takiem wyrazem politowania. Byłoby mi łatwiej znosić moje cierpienia, gdyby mnie uwolniła od objawów swej litości. Była już dziesiąta godzina; sądziłam że Teresa uda się na spoczynek, ale stało się inaczej. Może to źle z mej strony że śledzę zawsze chwilę powrotu Karola? Nie wiem... Coby też powiedziała na to Małgorzata?... Teresa zajęła się swoją robótką, ja haftowałam... Nigdy jeszcze nie wrócił tak późno jak wczoraj... było już w pół do jedenastej! Jakiem prawem ta kobieta zatrzymuje go tak długo? Czy on ma prawo tak przesiadywać u niej? Tłomaczył się tak spokojnie że rozmawiał ze Smith'em, i nie wiedział że już tak późno. Teresa zacisnęła usta, obrzucając go jednocześnie pełnem pogardy spojrzeniem. Tak, wiedziała u kogo był, i oburzyło ją kłamliwe jego usprawiedliwienie. Zapaliłam świecę i udałam się do mego pokoju... w którym znów przebyłam noc straszną, wśród ciężkich moralnych katuszy... Na domiar złego, ani ja ani Agnieszka nie zdołałyśmy znaleźć tej książki która mnie tak uspakaja i pociesza... Postąpił okrutnie, żeniąc się ze mną! A jednak... jednak czy chciałabym zezwolić na rozerwanie naszego małżeństwa gdyby to nawet było możliwem? Czy chciałabym nawet wyrzec się tego tak pełnego udręczeń życia gdybym dla tego potrzebowała rozłączyć się z nim na zawsze? Nie! cierpiałabym więcej jeszcze, gdybym nie mogła widzieć go codzień!

— Czy milady pytała sir Karola o tę książkę której nie mogła znaleźć wczoraj? zapytała Agnieszka, nie domyślając się że pani nie widziała jeszcze dziś męża.

— Nie, ale może ja sama zaniosłam ją na dół.

— Jaką suknię włoży milady.

— Tę z muślinu szwajcarskiego.

Gdy Agnieszka ubrała panią i wyszła z pokoju, Łucya wziąwszy biblię zaczęła się modlić. Nigdy jeszcze modlitwa nie uleciała ku niebu z serca przepełnionego głębszym smutkiem i niepokojem.

Następnie zbliżyła się do okna i czas jakiś patrzyła na drzewa, które jesień ustroiła w różne jaskrawe barwy, aby je wkrótce pozbawić liści i zamienić w smutne, posępne szkielety, tak smutne i posępne jak myśli Łucyi. Patrzyła na zielony jeszcze trawnik, na piękne jesienne kwiaty... Wszystkie te śliczne rzeczy były jej własnością, a jednak widok ich nie sprawił jej żadnej przyjemności.

Schodząc na dół, przybrała wyraz twarzy spokojny, prawie wesoły. Hewitt przyniósł zaraz kawę i usiadła przy stole. Nie czekano nigdy na miss Blake, gdyż pan Cattacomb nie zawsze o jednej porze wypuszczał swoje owieczki. Hewitt wyszedł do ogrodu oznajmić panu rozmawiającemu z Maclean'em, że podano już kawę.

Karol wszedł szklanemi drzwiami wychodzącemi na taras; Łucya spojrzała na niego i natychmiast spuściła oczy: im mąż wydawał jej się milszym i piękniejszym, tem więcej cierpiała.

— Dzień dobry, Łucyo.

Położyła na stole szczypczyki od cukru aby mu podać rękę i powiedziała dzień dobry tonem w którym nikt nie mógłby domyśléć się jakiegoś rozdrażnienia. Byli zawsze dla siebie bardzo uprzejmi, nawet uprzedzający. Grając ciągle komedyę dla zachowania pozorów w obec świata i domowników, stali się w końcu wybornymi aktorami—wprawa zastąpiła wrodzone zdolności.

— Co mam ci podać, Łucyo?

— Proszę o jajko.

— Maclean utrzymuje że sosna usycha.

— Która sosna?

— Ta wielka, koło paproci. Chce ją wykopać i zastąpić kwiatami. Czy zgadzasz się na to?

— I owszem, jeżli życzysz sobie tego. Czy kawa dość słodka?

— Tak, dziękuję ci.

Hewitt przyniósł listy. Dwa z nich były do miss Blake, jeden do Łucyi, Karol nie otrzymał żadnego. Łucya zaczęła zaraz czytać swój, ucieszona że znalazła jakieś zajęcie; nic prawie nie jadła, nie miała apetytu.

— To list od mojej matki, rzekła Łucya. Wyjeżdża do Londynu i ma zamiar zabawić czas jakiś u mojej ciotki. Czy byłeś wczoraj u lady Southal.

— Nie.

— Przyrzekłeś mi jednak już tak dawno że ją odwiedzisz?

— Prawda, ale nie mogłem być dotąd. Gdy głowa zajęta ważniejszemi rzeczami, łatwo zapomnieć o wizytach. Czy mistress Cleeve zdrowa.

— Zupełnie, ojciec czuje się także co raz lepiej, ale pozostaje w domu. Oboje przypominają się twej pamięci.

Karol pochylił głowę na znak podziękowania. Rozmawiali jeszcze czas jakiś o różnych drobnostkach; wstając od śniadania, Karol zapytał żony czy nie życzy sobie zobaczyć sosny i wysłuchać planów Maclean'a. Zawsze w podobnym razie zasięgał jej zdania, uważając że jako pani domu miała do tego niezaprzeczone prawo. Poszła natychmiast po parasolik.

Karol podał jej rękę i wyszli. Schodząc z tarasu spotkali miss Blake. Zatrzymali się chcąc jej powiedzieć dzień dobry.

— Musisz być głodną, Tereso. Na stole w sali jadalnej leżą dwa listy do ciebie. Ja odebrałem także list od mamy, jedzie na jakiś czas do ciotki Southal.

Karol podał znów rękę Łucyi i poszli dalej. Prawdopodobnie miss Blake była głodna, a jednak przez parę minut ścigała ich oczyma.

— Czy widział kto kiedy potworniejszą obłudę? zawołała nakoniec. Wstydzę się samej siebie, gdy sobie przypomnę że byłam kiedyś dość ograniczoną aby go uważać za najszlachetniejszego i najdoskonalszego z ludzi! Nie dawno jeszcze ośmielił się powstawać na tak świętego człowieka jak pan Cattacomb!... A jakiej że to trzeba cierpliwości!... Jakie sprzeczności znajdują się na tym świecie!... A jednak ten sam Bóg stworzył jednego i drugiego... obydwóch obsypuje swemi darami.... To przechodzi rozum człowieka! Co do Łucyi... ha! co do *niej*, niech czyni co chce.

Łucya wróciła wkrótce. Miss Blake przeczytawszy zaledwie listy zabrała się do śniadania. Karol udał się do swego gabinetu.

Miss Blake wybiegła z domu zaraz po śniadaniu, Karol wyszedł także wkrótce, Łucya więc pozostała zupełnie sama, jak zwykle teraz bywało. Wydała już rozporządzenia na cały dzień, i nie mając żadnego obowiązkowego zajęcia, oddała się bolesnym myślom. W końcu obawiając się aby jakiś szał nie przystąpił jej do głowy, włożywszy kapelusz poszła udając się do mistress Whittle, wdowy po owym człowieku zmarłym nagle w lecie. Udawała się tam zwykle gdy jak obecnie czuła się bardzo nieszczęśliwą, każda bowiem bytność tam przynosiła jej zbawienną naukę i dodawała energii i wytrwałości. Nie podpadało wątpliwości że mistress Whittle dogorywała wolno; słabowita już przed śmiercią męża, nie mogła przenieść tak strasznego ciosu. Gdyby Karol i Łucya nie przyszli jej z pomocą byłaby zmuszona szukać wraz z dziećmi schronienia w domu przytułku. Łucya weszła i usiadła na drewnianym stołku. Mistress Whittle trochę rzeźwiejsza niż zwykle, leżała na szeslongu który dostała od Łucyi, przy niej siedziały trzy córeczki z których najstarsza miała lat ośm. Dwóch małych synków bawiło się siedząc na podłodze.

— Uczę je szyć, rzekła do Łucyi; Bessy zaczyna już pojmować, ale młodsze nawet igły trzymać się jeszcze nie nauczyły. W ciągu bezsennych nocy, myślę zawsze o tem że nic jeszcze nie umieją, i smuci mnie to niewymownie, bo zapewnie już niedługo pozostaną z niemi i nie wiele czego będę mogła je nauczyć. Teraz mogę już tylko płakać i prosić Boga aby mi przebaczył moje błędy i niedbalstwo.

Łzy popłynęły po twarzy biednej kobiety. Była kiedyś bardzo ładna ale teraz twarz jej zapadła a rysy się wyciągnęły. Łzy stanęły w oczach Łucyi.

— Uspokój się, mistress Whittle, zdajesz się dziś zdrowszą; co zaś do przewinień, które sobie tak wyrzucasz, wszyscy mogliby uważać się za szczęśliwych gdyby nie poczuwali się do większych.

— Zdaje mi się że byłabym mogła wychować je lepiej, gdybym przewidziała przyszłość. Do owego strasznego dnia w którym przyniesiono tu mego męża na noszach, nie przyszło mi nigdy na myśl aby które z nas mogło umrzeć tak prędko. A teraz ja także opuszczę ich niedługo... a nie nauczyłam je nic jeszcze.

— Mam nadzieję że jeszcze odzyskasz pani zdrowie.

— Pragnęłabym tego gorąco, ale nie chcę się łudzić; odtąd jedynie tylko troska i niepokój o dzieli podtrzymuje moje siły. Kto tego nie doświadczył nie jest w stanie pojąć co za straszną boleść sprawia sama myśl że umierające pozostawiemy biedne drobne sieroty, nie zdolne radzić sobie na świecie. Pastor Sumnor jest bardzo dobry; odwiedza mnie i pociesza mówiąc o niebie, gdzie łzy i troski nieznane. Jednak nie mogę odegnać myśli że gdy umrę i biedne sieroty moje pozostaną bez kierunku i opieki, mogą zboczyć na złe drogi, a wtedy nie połączymy się w niebie.

Pierwszy to raz biedna kobieta przemawiała w ten sposób, gdyż zwykle oczekiwała z kornem poddaniem czy wyzdrowienia czy śmierci. Łucya słuchała jej z żywem współczuciem, wyrzucając sobie w obec tej bezgranicznej boleści, iż miała się za najnieszczęśliwszą na świecie i postanowiła sobie w duszy więcej panować nad smutkiem swoim

Wracając do domu usiadła pod ulubioną swoją akacyą; Karol powrócił i zapewnie widział ją z okna swego gabinetu, nie zszedł jednak, pozostawiając ją samą cały poranek. Gdy podano drugie śniadanie, Teresa weszła do sali jadalnej, ale Karola nie było. Łucya przypomniała sobie że miano jej nadesłać z Londynu okrycie jesienne i dla rozerwania się postanowiła pojechać odebrać przesyłkę ze stacyi. Kazała zaprządz i właśnie gdy *poney-chaise* z groomem stanął przed domem, Karol ukazał się jednocześnie.

— Czy sama chcesz powozić, Łucyo? zapytał.

— O nie! Robert będzie mi towarzyszył.

— Jeźli pozwolisz sam cię powiozę, w takim razie Robert może pozostać.

— Chcę tylko pojechać do stacyi, gdzie zapewnie nadesłano mi już okrycie.

Karol ujął lejce i pojechali; przesyłka jeszcze nie nadeszła, powiózł więc Łucyę aż pod Basham. Zaledwie parę nic nie znaczących słów zamienili z so-

bą, gdy wracali, przechodzeń jakiś ukłonił się Karolowi, mówiąc: „Dzień dobry, sir Karolu."

Był to pan Tatton. Zadziwiło Karola to spotkanie. Wprawdzie ajent policyjny mógłby mieć w Basham nie wiedzieć wiele interesów nie mających nic wspólnego z jego urzędowemi czynnościami, jednak widok ajenta policyjnego żywy w sercu Karola obudził niepokój. Gdy zostajemy ciągle pod wrażeniem obawy i przerażenia, lada zdarzenie podnieca je i budzi podejrzenie.

Powróciwszy do Foxwood-Court, Łucya przeszła do swego buduaru, Karol odprowadził *poney-chaise*. Po niejakim czasie usłyszawszy kroki jego na tarasie przysunęła się do okna chcąc zobaczyć gdzie idzie. Doszedł aleją do kraty i wyszedł; serce jej gwałtownie bić zaczęło. Gdzie on idzie? pomyślała. Drzewa zasłaniały jej drogę, tyle jednak mogła widzieć że zwrócił się w stronę Labiryntu. Może jednak potrzebował widzieć się z rządzcą, może chciał obejrzeć pola leżące w tej stronie? ale Łucya ani pomyślała o tem, pewna była że udaje się do tego tajemniczego domu, który znienawidziła całą potęgą zazdrości... Ale co znaczy ta zmiana, pomyślała, wiem że dotąd nigdy nie chodził tam we dnie?

Wtem weszła Agnieszka niosąc w ręku całe massy tiulu i wstążek niebieskich.

— Proszę milady, rzekła, a też te angielskie modniarki najmniejszego nie mają gustu! Któż słyszał tak powiewną suknię przeciążać atłasowemi wstążkami! do czego to podobne? osoba tak młoda jak milady nie może w tem chodzić, przychodzę zapytać czy milady pozwoli mi zmienić to przybranie?

Łucya spojrzała z roztargnieniem na przyniesioną suknię — co ją teraz obchodził ubiór, kiedy zdawało jej się że Karol nie zwraca na to uwagi!

— Dobrze, Agnieszko, odrzekła obojętnie, zrób jak chcesz.

— Ach! jak to źle, pomyślała odchodząc że milady tak jest obojętną na ubiór jakby jaka staruszka.

Dla zabicia czasu, Łucya całe popołudnie próbowała zająć się czytaniem, haftem lub inną jakąś robótką, ale wszystko to nie zdołało zażegnać myśli dręczącej ją nieustannie. Wieczorem przebrawszy się, zeszła na obiad, jednocześnie przybył Karol i Teresa, z obcych nie było nikogo, oboje nie pragnęli miewać teraz częstych gości. Teresa zaczęła mówić o drobnym jakimś wypadku jaki wydarzył się na stacyi — dostarczyło to na czas jakiś przedmiotu do rozmowy. Właśnie podawano wety, gdy miss Dianna kazała się zaanonsować — nigdy w odwiedzinach jakie oddawała nie krępowała się więzami etykiety, mimo to Łucya i Karol przyjęli ją jak najuprzejmiej, gdyż lubili ją bardzo. Od niej dowiadywali się zwykle miejscowych nowinek. Tym razem, gdy swoim zwyczajem, miss Blake natrąciła cóś o Labiryncie, miss Dianna przypomniała sobie krążącą bajeczkę.

— Doprawdy, zawołała, trudno uwierzyć żeby ludzie mogli być tak głupi! czy słyszeliście państwo pocieszną bajeczkę o widmie czy upiorze ukazującym w Labiryncie?

Karol przygryzł usta; Łucya zwróciła na miss Diannę pytające spojrzenie — nic bowiem nie wiedziała o tem.

— Wdowa Jinks dostała widocznie bzika, gdyż parę dni temu, dowodziła mi zawzięcie że dusza syna p. Throcton pokutuje i ukazuje się w Labiryncie. Przekonywała mnie iż brat mój, doktór Moore i dozorczyni chorych mistress Chaffen, na własne oczy widzieli upiora; ukazał im się ubrany w czarny frak i w jednej chwili rozwiał się jak mgła.

Wdowa Jinks wierzy w to jak w artykuł wiary.

— Słyszałam cóś że to ukazanie się gentlemana w czarnym fraku wytłomaczono w sposób więcej materyalny, rzekła Teresa, korzystając ze sposobności ukłucia Karola.

— A tak! i to może najpocieszniejsze, dodała miss Dianna wybuchając głośnym śmiechem — otóż odkryto że owo widmo był to po prostu sir Karol, odwiedzający codziennie mieszkankę Labiryntu, przed lub po obiedzie. Cóż na to powiesz, sir Karolu?

Karol był mocno zakłopotany. Z jednej strony nie chciał aby przypuszczano że jakiś nieznany gentleman mógł znajdowac się w Labiryncie, z drugiej nie życzył znów sobie przyznać że bywa tam co wieczór — w końcu z dwojga złego wybrał mniejsze.

— Ręczyć nie mogę, miss Dianno, ale być by mogło że mnie widziano, przypominam sobie że kiedyś wieczorem wszedłem tam na parę minut.

— Ależ to było podczas choroby mistress Grey, wtedy gdy największą miała gorączkę.

— Tak, tak, wtedy właśnie byłem zapytać o drowie mojej lokatorki.

— Jeźli tak, przypuszczam iż rzeczywiście to pan byłeś. Zapytywałam o to brata, ale gdy chce, umie być tak tajemniczy jak list zapieczętowany — odpowiedział mi że nic o tem nie wie... Rzecz prosta że nie mógł cię poznać, sir Karolu, bo nad schodami ciemno było jak w piecu. Dziecko tej pani ma być bardzo wątłe?

— A! kiedy już mówimy o chorych, rzekł Karol proszę cię, miss Dianno, powiedz mi jak doktór znajduje mistress Whittle; żona moja sądzi że jest bardzo chora.

Miss Dianna zaczęła mówić o miss Whittle, potem o czemś innem i tym sposobem udało się sir Karolowi odwrócić rozmowę.

Łatwo pojąć jak każda podobna wzmianka o Labiryncie i jego mieszkance, boleśnie dotykała Łucyę. Gdyby anioł zstąpił z niebios i przekładał jej że sir Karol nie był bynajmniej owym gentlemanem w czarnym fraku, nie wierzyłaby jego słowom. Wszak sam przyznał to prawie... i jeszcze w jej obecności!

Miss Dianna pożegnała się, Karol wyszedł wyprowadzając ją i nie wrócił do salonu;—Łucya domyśliła się że poszedł do Labiryntu. Udała się do swego pokoju i ztamtąd w ciemności śledziła powrotu męża. Było około dziesiątej gdy dostrzegła wracającego... a więc cały ten czas spędził w towarzystwie jej rywalki!

Rzeczywiście przez cały czas był w Labiryncie; korzystając z krótszych dni jesiennych i prędko zapadającej ciemności, chodził tam wcześniej aby nie tak późno wracać. Łucya zadawała sobie pytanie—jeźli tak ma pozostać, czy zdołam jak dotąd cierpieć w milczeniu?

Udała się na spoczynek, ale biedne zranione serce długo sen spędzało z jej powiek, biło tak gwałtownie iż chwilami zdawało jej się że pierś rozsadzi, a gdy nareszcie zdołała zasnąć, dręczyły ją sny równie straszne jak rzeczywistość. Zazdrość nawet bezzasadna niewysłowioną staje się męczarnią.

XI.

Pan Enen u mistress Chaffen.

Musimy teraz powrócić do pana Enen. Biegły ten ajent policyjny w strasznym był kłopocie wskutek owego spotkania i rozmowy z sir Karolem. Sam teraz nie wiedział co myśléć, co robić. Sir Karol zapewnił go uroczyście że to intendenta swego podejrzywał że jest Salterem, a że w Labiryncie nie ma i nie może być żadnego gentlemana — a wiedział że słowom jego ufać można;—jednakże jednocześnie dostrzegł, czy może zdawało mu się tylko, iż zanadto gorąco starał się przekonać go o tem, co kazało wnosić iż musi mieć w tem jakieś szczególne powody. Rozmyślając nad tem, nie zaprzestał nocnej przechadzki, i gdy miss Blake spotkała go, czyli raczej utknęła o niego nosem tuż obok kraty Labiryntu, upatrywał właśnie dogodnego miejsca, z którego nie widziany mógłby czynić spostrzeżenia. Ukradkowe wchodzenie sir Karola do Labiryntu, którego kratę otwierał przyniesionym z sobą kluczem, jakoteż poufne wytłomaczenie tego faktu przez miss Blake, nowe na ten przedmiot rzucały światło, dozwalając się domyślać powodów jego postępowania. Według słów miss Blake, sir Karol bardzo często zakradał się do Labiryntu, i owym mniemanym upiorem, nie był nikt inny tylko on.

Wytrawny zmysł policyjny pana Enen nakazywał mu uznać iż po przekonaniu się o prawdziwości tych faktów, nie pozostawało mu jak zabrać swój tłomoczek i wracać do Londynu. Ów tak uparcie poszukiwany Salter, mógłby tylko ukrywać się w Labiryncie, gdyż p. Enen przeszukał już najstaranniej całą okolicę i nigdzie ani śladu jego nie znalazł — lecz jeźli owem widmem gentlemana w czarnym fraku, był nie kto inny jak sir Andinian, opowiadanie mistress Chaffen traciło wszelką podstawę, a na niem tylko opierał przypuszczenie że Salter tam się ukrywa.

Długo rozmyślał nad tem rozważając rzecz tę wszechstronnie. Z jednej strony zdawało mu się że sir Karol nie należy do rzędu ludzi wdających się w podobne sprawki, z drugiej myślał sobie że w takich razach i za rodzonego brata ręczyć nie można. Jeźli to rzeczywiście sir Karola spostrzegła mistress Chaffen, łatwo pojąć dla czego nie ukazał się więcej podczas obecności dozorczyni. Im więcej rozmyślał tem prawdopodobniejszem wydawało mu się podobne rozwiązanie — a przyznać trzeba ze nie bardzo był z niego zadowolniony. Wyrzec się albowiem podejrzeń iż Salter ukrywa się w Labiryncie, było to zarazem przyznać iż dał się wprowadzić w błąd i bezużytecznie stracił tyle czasu. Trzebaby wracać do Scotland-Yard i ze wstydem przyznać się do niepowodzenia, a jakże to było upokarzającem, po przesłaniu sprawozdania, w ktorem donosił że zbieg został wytropiony i wkrótce zapewnie będzie schwytany, to też postanowił sobie nie opuszczać Foxwood bez uzyskania autentycznych dowodów, a chcąc dojść do tego, należało najpierw dobrze wybadać mistress Chaffen.

Tak rozmyślając całą prawie noc spędził bezsennie, i rano mocno znużony zasiadł do śniadania. Usłużna mistress Jinks, która bardzo nadskakiwała lokatorowi, który płacił za wszystko co żądała i nie zamykał cukru ani masła, dozwalając jej tem samem zaglądać do nich bezkarnie, zauważyła jego jakby osłabienie, i rzekła sprzątając ze stołu.

(D. c. n.)



N. 1. Ząbki szydełkowe z mignardise.

Opis do N-ru 29.

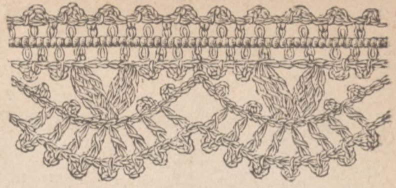
(Dokończenie).

N. 13. Ubranie dla panienki lat 12—14.

Na spódnicze w koło plisowanej dana draperya rozchodząca się z przodu, w górze sfałdowana i razem ze spódnicą w pasek wszyta, z tyłu dopełniona upięciem z bryta prostego. Krótki fałdowany stanik, opasany skórzanym paskiem. Rękawy za łokieć, mankiety i kołnierz wykładany płócienny, oszyte koronką.



N. 3. Suknia z draperyą à panier. N. 4. Suknia z tuniką podpiętą z boku.



N. 2. Ząbki szydełkowe z mignardise.



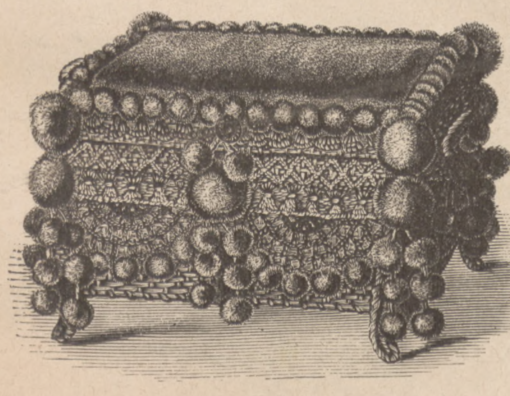
N. 5. Suknia z szalową draperyą. Patrz ryc. 26 w N-rze 29.



N. 6. Suknia zdobna patkami. Patrz ryc. 3 w N-rze 29.

N. 15—16 i 21. Spódnica z turniurą.

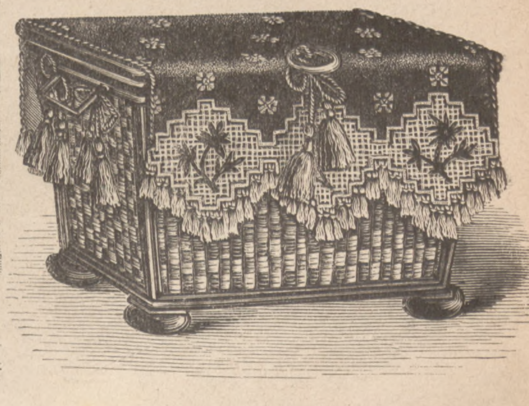
Na ryc. 21 dajemy model kroju i miary spódnicy pod suknię, w której kliny boczne mają zaszewki 20 cent. długie a 2 cent. głębokie, dwa tylne bryciki są kliniasto ścięte i prawie gładko wszyte w pasek 3 cent. szeroki, któren z przodu jest trochę bawetowo i kolisto przykrojony, podług litery *d*. Rozporek 26 cent. długi i zapięcie spódnicy dane z lewego boku, między klinem i brytem tylnym. Ryc. 16 przedstawia wewnętrzne urządzenie turniury, na którą w brytach tylnych, zacząwszy na 36 cent· od dołu, naszyte są w odstępach 17 cent., taśmy 2 cent. szerokie, środkiem na dwie listewki przyszyte, w które nawłóczy się wązkie stalki. Dla nadania tym ostatnim zaokrąglenia i wypukłości, przyszywa się od spodu taśmy elastyczne 2 cent. szerokie, z których dwie dolne przyszyte w odstępie 9 cent. od końca stalek, ma-



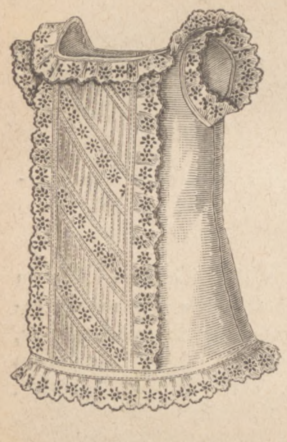
N. 9. Koszyczek do robót. Patrz ryc. 19.



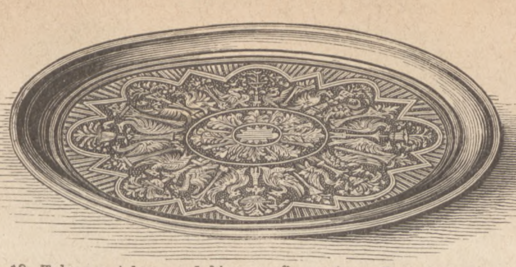
N. 7 i 8. Suknia z fałdowaną tuniką.



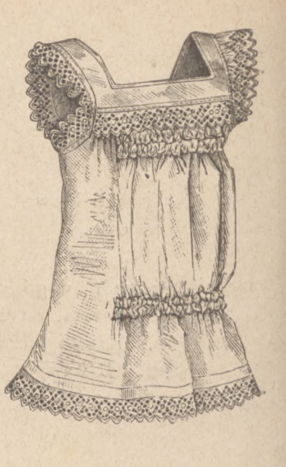
N. 10. Kosz na drobiazgi lub negliżyki. Patrz ryc. 18—20 w N-rze 29.



N. 11. Fartuszek batystowy z plastronem. Patrz ryc. 38.



N. 13. Talerz metalowy ozdobiony grafirowaniem. Patrz ryc. 14.



N. 12. Fartuszek z przemarszczaniem. Patrz ryc. 39.

ją 17 i 15 cent. długości, dwie górne 7 cent od brzegów przyszyte, są 13 cent. długie. W środkach elastyki nawleczone sprzączki do ściśniania ich w razie rozciągnięcia. Z wierzchu na tylnych brytach naszyte falbanki, 18 cent. szerokie, z których pierwsza ma 87, dalsze 79, 68, 61 i 51 cent. długości.

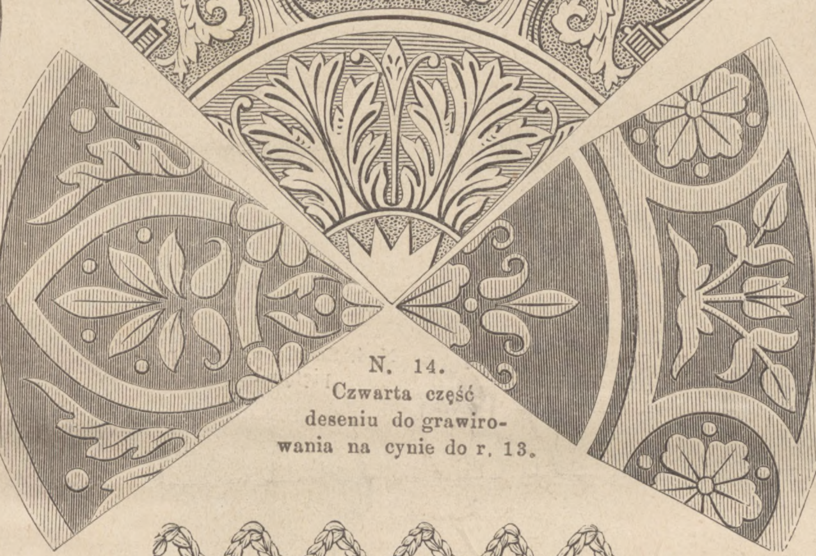
N. 23 i 27. Czepeczek ubrany szeroką wstążką.

Fason do czepeczka stanowi czółko ze sztywnego tiulu, do którego model i miary, dajemy na ryc. 23. Z tyłu do czółka przyszywa się nieco przyfałdowane denko, $3\frac{1}{2}$ cent. do rogów niedochodzące, mające w dolnym, prostym brzegu, 21 cent. długości. Garnirunek stanowi 10 cent. szeroka faldowana koronka, której rząd pierwszy 6 cent. za czółko wystaje, a z boków po 5 cent. na denko się przedłuża; rząd drugi 5 cent. na poprzedni zachodzący, przyszywa się od brzegów do środka gdzie w dalszym ciągu koronkę zeszywa się górnemi brzegami do siebie, na koniec z tyłu spuszczony, 27 cent. długi. Kokardy ze wstążki atlasowej 10 cent. szerokiej, upiąć sposobem wskazanym na ryc. 27.



N. 15. Talerz metalowy z deseniem wypalonym kwasem. Patrz ryc. 16.





N. 14. Czwarta część deseniu do grawirowania na cynie do r. 13.

N. 16. Piąta część deseniu do wypalania kwasem. Patrz ryc. 15.

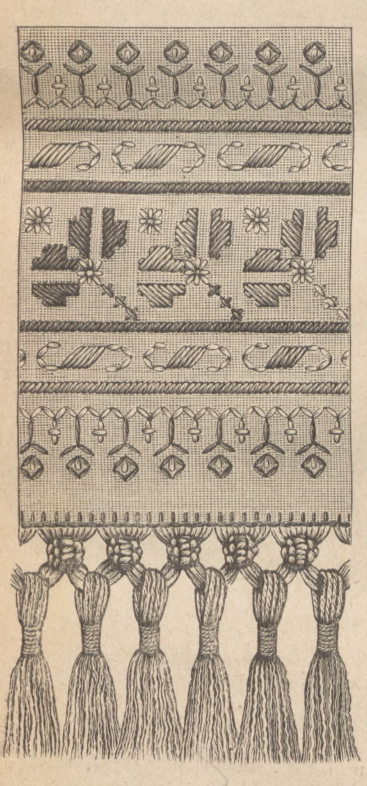
N. 18a—18b. Desenie do wypalania kwasem do ryc. 17.



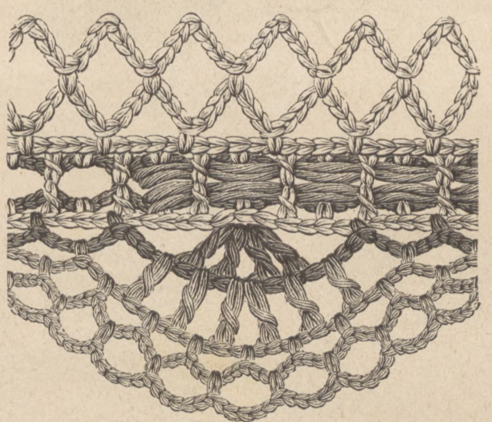
N. 17. Talerz metalowy z deseniem wypalonym kwasem. Patrz ryc. 18.

N. 28. Czepeczek ozdobiony szpilkami.

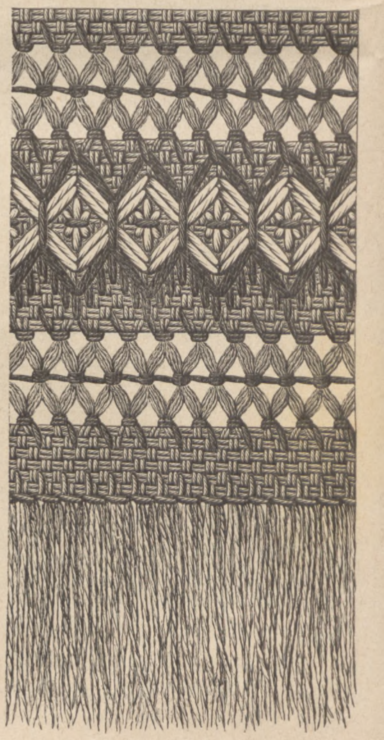
Na foremce ze sztywnego tiulu, mającej 32 cent. długości, w środku 7, z brzegów 2 cent. szerokości, przypięta jest nad czołem kokarda złożona z 4 pukli przepiętych węzłem, na którą potrzeba 1 metr wstążki kremowej, 8 cent. szerokiej. Na kokardę zachodzi koronka saska 10 cent. szeroka przymarszczona 12 cent. za brzegi foremki tiulowej wystająca. Drugi kawałek wstążki 110 cent. długi w środku w węzeł przewiązany, przypięty jest złotemi szpilkami do koronki a z tyłu lekko przewiązany.



N. 20. Szlak do serwet. Haft płaski.



N. 19. Ząbek szydełkowy do ryc. 10.



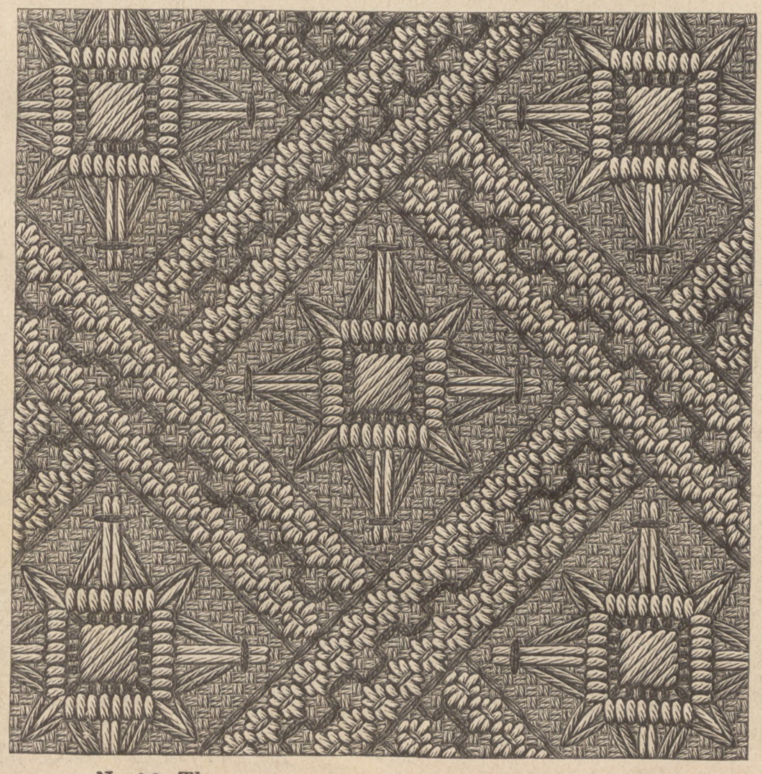
N. 21. Szlak do serwety ryc. 45. Kratka i wyszycie na kanwie Jawa.

N. 29—30. Suknia przemarszczana.

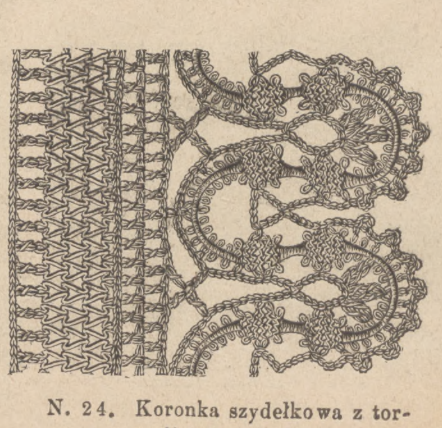
Dla młodych, wysmukłych osób, ciągle najmodniejsze są suknie ozdobione przemarszczaniem jakie widzimy na ryc. 29 i 30. Model odrobiony był z satynki bluszczowego koloru; spódnica oszyta u dołu falbanką 10 cent. szeroką, w kontrafałdy ułożoną, nad którą przód i boki pokrywały



N. 23. Koronka szydełkowa z mignardisą do ryc. 32.



N. 22. Tło na serwetę ryc. 45, wyszycie na kanwie Jawa.

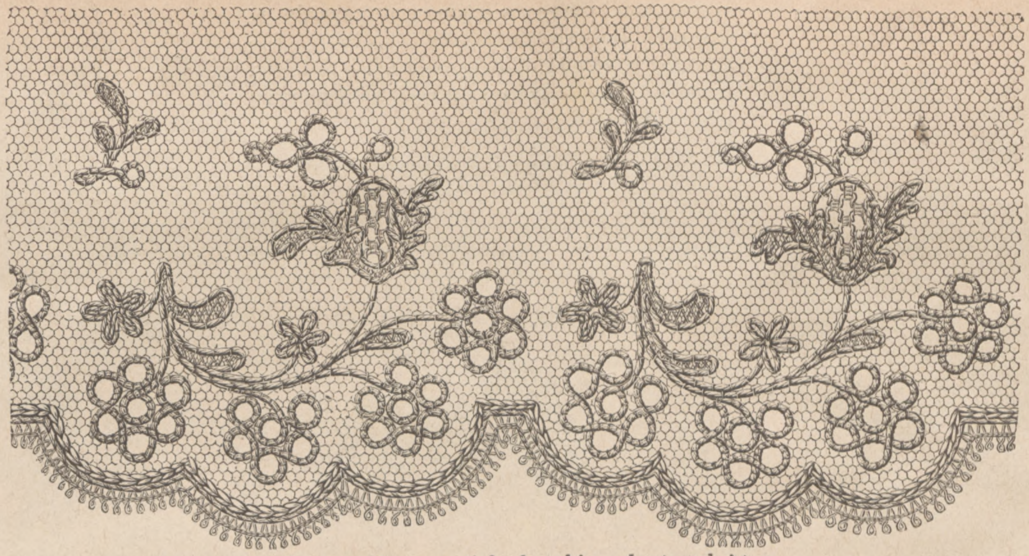


N. 24. Koronka szydełkowa z torsadką do ryc. 32.

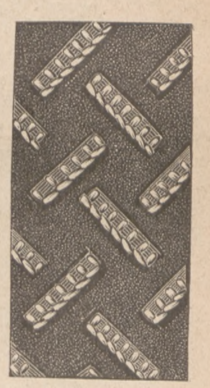
bufki i przemarszczanie układane z dwóch oddzielnych 46 cent. długich, z prostych brytów zeszytych części, oszytych u dołu koronką 11 cent. szeroką. Każdą z nich w odstępie 6 cent. od koronki przemarszcza się na szerokość pięciu cent. 5 razy, dalej daje się bufkę 10 cent. szeroką, nad nią drugie przemarszczenie, a resztę marszczy się w górze i równo przyszywa do podszewki. Na brycie tylnym daje się u dołu 6 cent. szeroką, koronką oszytą falbankę nad którą przyszywa się szwem odwracanym, bryt 84 cent. szeroki a 155 cent. długi, upięty sposobem wskazanym na ryc. 29. Stanik z długą baskiną kraje się podług dobrej formy gładko z podszewki; przody ze zwierzchniego materyału krają się razem z panier, dodając z brzegów przednich po 18 cent. na marszczki i fałdy. Panier mają w prostym, przednim bregu po 64 cent. długości, w górze 30 szerokości, która przez skośne ścięcie tylnych brzegów, rozszerza się do 50 cent. szerokości dolnej. Przody przemarszczane są na karczek, mający w prostym brzegu 16 cent. długości, dalej układane w drobne fałdki i zajmujące w pasie 9 cent., a u dołu 11 cent. szerokości, dolne przemarszczenie baskiny zajmuje 8 cent. długości. Przy każdej połowie pleców trzeba na marszczki i fałdy po 9 cent. szerokości, a na końce przy baskinie po 50 cent. długości dodać. Te ostatnie ścina się skośnie u dołu, oszywa koronką, przekłada na krzyż i upina zręcznie w ten sposób, żeby przykrywały przyszycie panier, sfałdowanego do sześciu cent. Rękawy na gładdkiej podszewce, są na przemian 6 cent. szeroko, płasko przemarszczane, i układane w bufki 5 cent. szerokie.



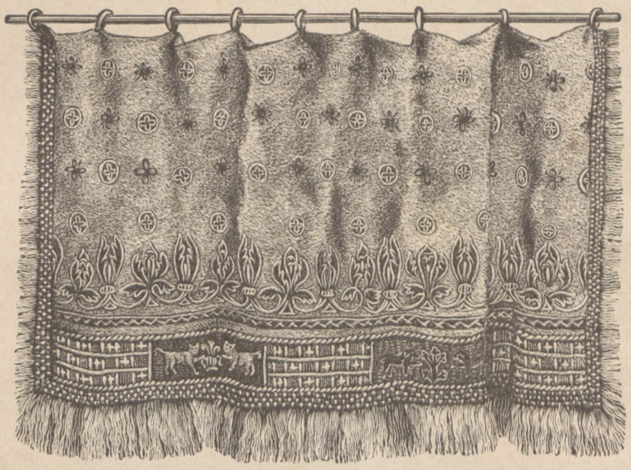
N. 25. Tło wyszyte na deseniowym aksamicie sznureczkiem i nitką złotą.



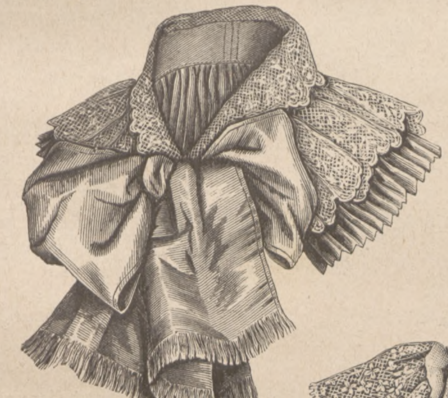
N. 27. Koronka wywodzona na tiulu do sukien, chusteczek i t. p.



N. 26. Tło dziergane jedwabiem kolorowym, na aksamicie deseniowym.



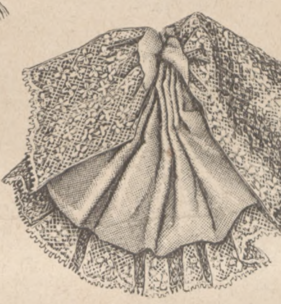
N. 36. Zasłona do bufetu. Patrz ryc. 37.



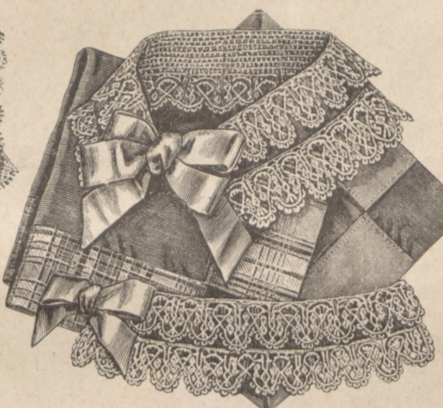
N. 28. Kołnierz z materyi i koronki.



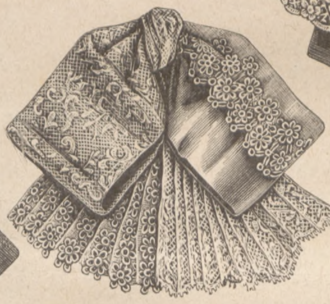
N. 29. Kołnierz ze szlakiem haftowanym.



N. 30. Żabot z gazy i koronki.



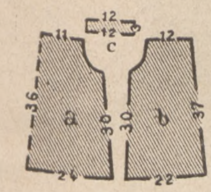
N. 32—35, Kołnierz i mankiety szydełkowe tudzież dwie chusteczki do nosa. Patrz ryc, 23 i 24,



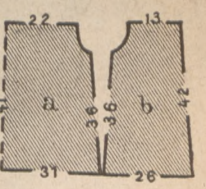
N. 31. Żabot z wstążki i koronki.

N. 31—32. Suknia z draperyą szalową.

Model i miary draperyi na ryc. 22. Ryc. 31 i 32 przedstawia z przodu i z tyłu suknię z satynki z dopasowanemi szlakami; model odrobiony był z satynki szafirowej, z deseniem szlaków popielatym do cieniu. Spódnica na 60 — 80 c



N. 38. Wskazanie kroju fartuszka ryc. 11.



N. 39. Wskazanie kroju fartuszka ryc. 12.



N. 37. Szlak haftowany do ryc. 36.

cą szerokość i łączy w górze pod kokardą ze wstążki. Do przodów dodany jest plastron fałdowany bawetowo do dołu zwężony. Kołnierz, ranwersy i mankiety z materyału deseniowego albo z aksamitu.

N. 35 i 36. Szlafrok ozdobiony przemarszczeniem i fałdami.

Dogodny ranny szlafroczek zrobiony był z letniego materyału, na gładkiej podszewce, formą princesse i ubrany koronką koloru ficelle i ko-



N. 40. Sukienka z vêtement. N. 41. Sukieneczka wycięta.

długości od dołu pokryta jest satynką ułożoną w 4 cent. szerokie kontrafałdy; wyżej daje się satynkę gładko. Draperyę szalową podług ryc. 22 przykrojoną, przyszywa się poprzecznemi sfałdowanemi brzegami, skośnie jeden na drugi zachodzącemi, szwem odwracanym z przodu na spódnicy, bierze się w górę i ściśle sfałdowawszy, przyszywa przy pasku na brycie tylnym, a pozostałą część środkową, upina z tyłu, sposobem wskazanym na ryc.32. Plecy stanika z baskiną, są 14 cent. dłużej od tylnych boczków przykrojone, a przy szwie środkowym dodaje się na fałdy baskiny. Następnie do daną długość zakłada się w górze w fałdy i zeszywa równo z boczkiem, w środku nie zeszywa się baskiny, lecz ściśle fałduje zbywają-



N. 42. Sukieneczka z bufowanym plastronem. N. 43. Sukienka z szarfą.

N. 40 i 24. Ubranie z mantylką szalową.

Na ryc. 24. dajemy model kroju i miary mantylki szalowej, z koronkowego tiulu, oszytej u dołu koronką hiszpańską 22 c. szeroką i z przodu w węzeł przewiązanej.

N. 41. Dolman z czarnej koronki hiszpańskiej, garnirowany 7 c. szeroką hiszpańską koronką, przymarszczaną i w riuszę układaną.

N 42. Biały szalik koronkowy, lekko zarzucony na ramiona, jest z boku na wcięciu w pasie w fałdy zebrany, na krzyż przełożony i bukietem z róż spięty.

N. 43. Szlak haftowany złotem lub srebrem.

Model srebrem na aksamicie bluszczowego koloru. Grube nitki srebrne i kręcony sznureczek, naszywane krytemi ściegami jedwabiem cienkiem białym tylko podwójne nitki w środku arabesek były przez wierzch przeszywane. W prostych szlaczkach z brzegu, naszyty w środku na lewą stronę, łańcuszek srebrny, robiony szydełkiem. Z brzegów naszyta wąziutka srebrna koroneczka.



N. 44. Suknia z krótkim stanikiem.



N. 46. Kapotka koronkowa.



N. 45. Serweta z kanwy Jawa. Patrz r. 21–22.

kardami ze wstążki. Do zwierzchniego materyału dodaje się potrzebną ilość na przemarszczenie i fałdy, a przody spódnicy całe fałdone i znacznie szersze od stanika kraje się oddzielnie i zeszywa pod paskiem. Rękawy rozszerzone u dołu, wszyte są w pasek pokryty koronką.

N. 38—42. Ubrania spacerowe i na koncert.

N. 38, Mantylka z szalowym kołnierzem, z krepowanego wełnianego materyału, formą dużej peleryny brzegi są przyfałdowane. Podłużny wykrój szyi wszyty w długi haftowany szalowy kołnierz.



N. 47. Kapotka słomkowa.

☛ Opis N-ru 30-go, z powodu braku miejsca, zamieszczony będzie w N-rze 31. niniejszego dodatku.